

KAMENNA

DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: Rozstrzygnięcie konkursu • Kozmian o starym Lublinie • Dwugłos o Teatrze Osterwy
 • List muzyczny • Ze wspomnień ravenbruckich • Ohmacując nerwy •
 W stronę młodych • Dwie mile od Lublina • Co myślą o „Krzyżakach” • I in.

GDY RADY NARODOWE NIE DBAJĄ O ROZWÓJ KULTURY

ALINA TOMASZEWSKA

Ludzie, których specjalnie interesuje rozwój życia kulturalnego na tzw. podlubielskiej prowincji, od pewnego czasu zauważyli niepokojące zjawisko: rady narodowe różnych „szczebli”, które powinny zająć się koordynacją rozwoju życia kulturalnego w swoich gromadach i powiatach, w bardzo wielu wypadkach nie chcą i nie pełnią swojej roli w tej dziedzinie. Czym tłumaczyć wstręt władz (boć przecie rady są władzą na swoim terenie) do spraw kultury i to wstręt występujący niemal nagminnie? Nie chciałabym z tego niepokojącego faktu wysnuwać zbyt daleko idących wniosków i przypuszczeń.

Aby jednak nie być posądzoną o gołosłowność, przejdę do faktów.

Siennica Różana (powiat krasnostawski) słynie niemal na cały kraj ze swoich pięknych, ludowych zespołów artystycznych, istniejących już od 50 lat. O poziomie ich oraz o dorobku zwykło się mówić w samych superlatywach. Otóż przez cały okres swego istnienia tamtejsza Gromadzka Rada Narodowa ani razu nie zainteresowała się zespołami, pomimo że ma przecież specjalne fundusze przeznaczone „na kulturę” i z reguły rok w rok nie wykorzystywane (wyjątek będzie stanowił rok obecny, kiedy to pod naciskiem „odgórnym” GRN przydzieliła pewną sumę pieniędzy, jako swój wkład w organizowanie jubileuszu zespołów). Tymczasem do tej pory „Siennica Różana” występuje w pozycjach kostiumach, bo własnych nie posiada. Kiedy zaś kierownictwo zespołów zwróciło się do GRN z prośbą o jakies drobne sumy pieniężne konieczne na opłaty pocztowe, usłyszało, że GRN ma poważniejsze sprawy na głowie — problemy gospodarsze, a „cała kultura” nie jej nie obchodzi.

Inny przykład: Końskowola (powiat puławski). Kompletna obojętność, a nawet niechęć, tamtejszej GRN do mającego przecież ogromny dorobek i będącego prawdziwym ośrodkiem życia kulturalnego osady zespołu pieśni i tańca — doprowadziła nieomal do jego rozwiązania.

W Trawnikach (powiat lubelski) na pytanie, co robi komisja kultury, odpowiedział na przecieć za rozwój tej dziedziny życia — odpowiadają bez troski: nic. A co najgorsze uważają, że wszystko jest w porządku.

A klasycznym już wprost przykładem jest sytuacja, jaka od pewnego czasu wytworzyła się w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej we Włodawie. Na skutek różnych przesunięć administracyjnych zlikwidowano w ogóle referat kultury i obecnie, praktycznie rzecz biorąc, we Włodawie on nie istnieje.

Przykłady można by mnożyć, ale nie o to przecieć chodzi. Czy tam, gdzie władze przejawiają kompletną obojętność, życie kulturalne przestało istnieć? Różnie.

W Siennicy Różanej, mimo ogromnych trudności, zespoły zdane na własne siły od niedawna otoczone serdecz-

ną opieką referat kultury PPRN oraz Dom Kultury w Krasnymstawie. „Końskowole” w ostatniej chwili wzięła pod swoje skrzydła GS Rudy. W Trawnikach rozpoczynają działalność kulturalną, ale tylko wśród swoich pracowników, Siedleckie Zakłady Przemysłu Dzwierskiego. Natomiast w osadzie jako takiej życie kulturalne właściwie nie istnieje.

W powiecie włodawskim tu i ówdzie powstają wprawdzie amatorskie zespoły artystyczne, ale pozbawione odpowiedniej opieki oraz fachowego instruktora, albo po pewnym czasie rozpadają się albo wegetują na mierzym poziomie.

I oto w tej niewesołej sytuacji pojawił się nowy czynnik, który najwyraźniej bierze w swoje ręce inicjatywę organizowania życia kulturalnego w małych ośrodkach: Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Instytucja, której pierwszym zadaniem jest zaopatrzenie ludności wiejskiej w artykuły spożywcze, odzieżowe oraz inne niezbędne do uprawy roli i hodowli zwierząt, a także organizowanie skupu produktów rolnych i hodowlanych, instytucja ta, mająca w swoim statucie punkt mówiący o otoczeniu opieką życia kulturalnego „na prowincji”, twardo i energicznie wzięła się do tych spraw.

Z początkiem lata br. lubelski PZGS zorganizował eliminacje amatorskich zespołów działających przy gminnych spółdzielniach. Trzeba przyznać bezstronnie, że impreza ta przyczyniła się do poważnego wzmocnienia zainteresowania ruchem amatorskim nie tylko w powiecie lubelskim, ale także bychawskim i bełżyckim. Powstało wówczas szereg nowych zespołów, które z powodzeniem rozwijają swoją działalność w dalszym ciągu.

We wrześniu br. zorganizowano w Lublinie międzywojewódzkie eliminacje zespołów amatorskich działających przy placówkach spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu. Brały w nich udział zespoły z województwa lubelskiego, warszawskiego, kieleckiego i łódzkiego. Impreza była udana, bardzo ciekawa. I znów trzeba podkreślić, że Lubelszczyzna zajęła w klasyfikacji wcale niepoślednie miejsce. Zespoły nasze były starannie przygotowane, pięknie ubrane. Widać było, że stanowią prawdziwe „oczko w głowie” lubelskich GS-ów.

Tę ogromną dbałość gminnych spółdzielni o swoje zespoły widać nie tylko przy okazji eliminacji, a tak, zwyczajnie, na codzień. Instruktorów i aktorów-amatorów zabiera się na wycieczki krajoznawcze, kupuje się zespołom instrumenty muzyczne, stroje, zapewnia najlepszych kierowników i nauczycieli. Ambicje są duże i duża prężność organizacyjna. A że zdolnych ludzi u nas nie brak, więc do sukcesów niedaleko.

W Białej Podlaskiej umiera Powiatowy Dom Kultury. Trudności lokalowe, ciągłe braki funduszy. Członkowie

zespołów uciekają do świetlicy spółdzielczej, która te fundusze, niezbędne dla swego rozwoju, posiada.

Pracownicy PDK są rozgoryczeni. Mają żal do Prezydium PRN o to, że nie potrafiło zadbać o Dom Kultury. Mają żal do PZGS o „rozbijanie” zespołów, o „kaperowanie” członków.

Sytuacja jakże charakterystyczna nie tylko dla Białej Podlaskiej. W całej pełni występuje tu nieudolność rady narodowej, lekceważenie życia kulturalnego i nieznajomość swoich zadań w tej dziedzinie. Bo przecieć gdyby PPRN w Białej Podlaskiej bardziej dbało o te sprawy, z pewnością podszepnęłoby pracownikom PDK: „Rezygnujemy z zespołu tanecznego i chóru na korzyść PZGS. Natomiast organizujemy u siebie sekcję brydżową, krótkofalarą, filatelistyczną itp.” W ten sposób mieszkańcy Białej Podlaskiej zyskaliby o wiele większe możliwości przyjemnego i kulturalnego spędzenia czasu, zgodnie ze swoimi różnorodnymi zainteresowaniami. Natomiast tego rodzaju „rywalizacja”, jaka ma miejsce dotychczas, pożytku nikomu nie przyniesie.

Fakt, że gminne spółdzielnie wzięły, w wielu wypadkach, na swoje barki organizowanie życia kulturalnego, nie zwalnia bynajmniej rad narodowych od obowiązku interesowania się tą dziedziną życia na swoim terenie. Powinny pamiętać, że ich obowiązkiem jest przede wszystkim koordynacja tego życia, a co za tym idzie, otoczenie opieką wszystkich placówek kulturalnych w gromadzie czy powiecie, bez względu na to, przy jakiej instytucji one działają. Bo przecieć chyba rady narodowe nie zostały upoważnione do zrzeczenia się części swoich praw i obowiązków.

REPORTAŻ Z DRUGIEJ RĘKI

TADEUSZ KŁAK

O Polsce powiatowej pisało się wiele. Prawie zawsze to samo. Reportażysty zbierali materiały, które dowodziły, że taki Garwolin to naprawdę zapadła dziura, nuda i świat zabity deskami. Cóż wnieśli więc nowego do tematu autorzy prac pt. „Środowisko społeczne, w którym żyję”, uczestnicy kursu oświatowego? Poszukiwaczy sensacji rozczarują: nic nowego tu nie znajdują. Po prostu rzeczywistość codzienna powiatowego miasta, zwykła i szara, czasem interesująca, jeśli w życie środowiska wrosło się dostatecznie głęboko. Od innych wypowiedzi ta różni się tym, że przemawia tu autentyczny głos powiatowych środowisk, osób, które w życiu powiatowym uczestniczą i starają się na nie oddziaływać. Bibliotekarzy, instruktorów powiatowych domów kultury, działaczy ZMW. Jak oceniają swoje miasto, swą wieś, instytucje kulturalne, ludzi?

ŚRODOWISKO

Bywa różne. Brzydkie i ładne, dobre i złe. Oto Janów. „Rzadko kto z ze

wnątrz tutaj zagląda. Jeżeli jakiś przypadek zaprowadzi tu człowieka bardziej wykształconego, to po pewnym czasie opuszcza on miasto, wynosząc z niego wrażenie określone mianem „dziury”, „świata zabitego deskami”. To jedna strona medalu. „Są jednak pewnie i tacy, którzy kochają swoje miasto za jego małomiasteczkowość, za jego spokój i swoisty urok, właściwy tylko małym miasteczkom”.

Tak samo wygląda prawda o Krasnymstawie. Społeczeństwo żyje „własnym małomiasteczkowym życiem z wszystkimi jego kompleksami, trudnościami i kłopotami. Rodowitych mieszkańców Krasnegostawu jest tu niewiele i można ich policzyć na palcach, a zatrzymały ich własne posiadłości lub też w rzadkich wypadkach sympatia i przywiązanie do rodzinnego miasta”. Tak jest zapewne w Chełmie i w Lubartowie, Puławach czy Białej Podlaskiej. Inaczej w Bilgoraju, gdzie „nocą trudno przejść, gdyż leżą kamienie i inne przedmioty na głowę. Na bocznych uliczkach bardzo często trudno jest spokojnie przejść i właśnie na tych uliczkach najczęściej brak oświetlenia(...) Charakterystyczne jeszcze u ludności bilgorajskiej jest skąpstwo i nieszczerłość w stosunku do innych”. To wina po części tego, że ludność w Bilgoraju jest raczej napływowa, mało zżyta.

W innych miastach, gdzie ludzie siedzą od lat, np. w Bychawie, znają się wszyscy nawzajem, ba, wiedzą nawet, gdzie i o której godzinie kto u kogo był, o czym rozmawiał. Przekazywane na ucho w „wielkiej tajemnicy” wiadomości lotem błyskawicy rozchodzą się po mieście, nabierając fantastycznych kształtów i są na różne sposoby komentowane”. Plotkarstwo — to jedna sprawa. Szukajmy drugiej. „Ludzie, którzy wyszli ze środowiska wiejskiego, wstydzą się wsi, starają się za wszelką cenę uchodzić za elitę wielkomiejską i z tego wymyślanego piedestału patrzeć z góry na wszystko, co wiejskie” (...). Zdarza się, że przyjeżdże do Bychawy młodzieżowy zespół wiejski z dobrą i dobrze opracowaną sztuką, a sala kinowa świeci pustkami, ale niech pojawią się afisze, że przyjeżdża zespół z Lublina, to nawet nie trzeba wiedzieć co za występ będzie, a bilety już wyprzedane. „To, co przychodzi z miasta, to modne i dobre, wszystko inne nie warte uwagi”.

LUDZIE

Autorzy wypowiedzi często narzekają na nich. Ze nie ich nie obchodzi poza pieniędzmi i bogactwem się, że na kulturę obojętni, że...

Piszą o wszystkich: pracujących na roli, inteligencji, robotnikach. Ciekawe, że najgorszą opinię, jeśli idzie o postawę społeczną, mają lekarze. „Mimo że w Białej jest ok. 30 lekarzy, największą trudność sprawia znalezienie prelegenta do spraw higieny i zdrowia. Zazwyczaj lekarze wymawiają się brakiem czasu, co jest zupełnie możliwe(...) Faktycznie jednak nie czują się oni związani z resztą społeczeństwa”. Najbardziej moim zdaniem — pisze inny — nie potrafią współżyć i współpracować z ludźmi lekarze. W ogóle jest to element bardzo dziwny” — dodaje zirytowany autor.

Życiem kulturalnym i gospodarczym miasta interesuje się przede wszystkim inteligencja rekrutująca się spośród pracowników prezydium, placówek kulturalnych, szkół i instytucji handlowych. Słabe zainteresowanie życiem miasta wśród robotników tłumacza

(Dokończenie na str. 4)

O TEATR NIE-SKROMNY

(Artykuł dyskusyjny)

ANNA TATARKIEWICZ

W „Kulturze i Życiu” z 23.X ukazał się artykuł kol. Włody Kornełuk pt. „Sezonowy temat” — o lubelskim teatrze. Po przeczytaniu tego artykułu zrobiło mi się dosyć wesoło. Wesoło, bo przypomniałam sobie taką anegdotkę o statystyce: „Jeśli moja żona zdradza mnie co dzień, a twoja ciebie — nigdy, to statystyka powie, że nasze żony zdradzają nas co drugi dzień”. Kol. Kornełuk zaprzęgał przy pomocy statystyki dowiedzieć, że znakomitym sukcesem ubiegłego sezonu teatralnego w Lublinie był „Cezary Baryka”. I dowiodła — wrzucając do jednego worka pętle męle sztuki już zdjęte z afisza i jeszcze idące („Pierwszy dzień wolności”), utwory dla dorosłych i dla dzieci, spektakle grane tylko w Lublinie i te inne, obojętne po terenie, pomijając takie momenty, jak organizacja widowni, wielkość sal itp., itp. Ale nie zamierzam sprzeczać się z kol. Kornełuk. Żywo recenzenta teatralnego „na szczeblu” wojewódzkim jest i tak dość uciążliwy, aby go jeszcze zatrzymywać wzajemnym wbijaniem szpilek. Bo jeśli w ogóle rzemiosło recenzenta teatralnego jest jednym z najmniej wdzięcznych (na czyją bo wdzięczność liczyć?), to niewątpliwie recenzentem prowincjonalnym przypada najniższy krag tego piekielka. W gruncie rzeczy nie wiadomo zgoła, po co i dla kogo piszemy. Jeśli piszesz o miejscowym teatrze dobrze, to wnet po mieście idzie szmer: „W tym coś jest! On (ona) pewno na żółdzie teatru!” albo: „Dyrektor mu stawia!” albo: „Chce się podliznąć!” albo: „Boi się!” Jeśli piszesz źle, to szmer też nie milknie, tylko w nieco odmiennej wersji: „W tym coś jest! To mafia! Chce go zniszczyć! Iksiński go (ją) napuścił! Wysługuje się reakcji! Znamy takich!” A w jednym i drugim wypadku, to znaczy, czy się pisze dobrze, czy się pisze źle, zapada ostatecznie nieodparty werdykt: „On (ona) nie ma pojęcia o teatrze!” Co zresztą niekiedy zgadza się z prawdą, ale kto — pytam! — troszczy się o to, aby recenzenci prowincjonalni mieli pojęcie!

W każdym razie nie ci, co z wyżyn zagranicznych wojaży urągają poziomowi krytyki „terenowej”... Dla samego teatru byle wzmianka w gazecie centralnej czy w „Teatrze” jest o wiele ważniejsza, niż najsumienniejsze omówienie w prasie miejscowej. I dlatego już nie wesołość, ale smutek wzbudziła we mnie lektura 20 numeru „Teatru”, gdzie w redakcyjnym „liście z widowni” mówi się explicite o tym, co wiemy dobrze z praktyki, że sceny prowincjonalne recenzowane są od przypadku do przypadku. I gdzie — jakby dla ilustracji — zamieszczono o parę stron dalej recenzję z lubelskiego „Wujaszka Wani”. Autor, Eugeniusz Zytomirski, dowodzi tylko jednego: że jest bardzo dobrym człowiekiem i że nie chciał zrobić nikomu w omawianym przez się „skromnym teatrze” najmniejszej przykrości. W rezultacie jego króciutkie omówienie to arcydzieło zastosowania taryfy ulgowej.

Taryfa ulgowa to — w moim przekonaniu — najbardziej wyrafinowana forma lekceważenia sobie tych, wobec których się ją stosuje. „My, tu, między dorosłymi, możemy się chlaskać, ale wobec was, maluczkich i ubogich duchem, nie będziemy przecież tak niewyrozumiali”. Owa taryfa ulgowa jest szczególnie niebezpieczna, gdy idzie o prowincję. Stosowana często „odgórnie” (jak we wspomnianej wzmiance z „Teatru”), występuje też w specjalnej odmianie terenowej, przywdziewając szaty lokalnego patriotyzmu. Taki najfatalniej pojęty patriotyzm może chwalić w czambuł wszystko, co miejscowe, wzdragać się i obrażać, gdy kto taką domorosłą świętość waży się szargać. Taki patriotyzm jest w istocie zamaskowanym kompleksem mniejszości, wiąże się z przekonaniem, że trzeba wynosić pod niebiosa to, co jest, bo nie stać nas na lepsze.

Czy naprawdę nigdy nie stać? Na przykład są głosy, że lubelskie teatru nie stać na eksperymenty

smielsze i bardziej udane niż „Cezary Baryka”.

Co do mnie jestem całkiem odmiennego zdania.

Jeżeli jestem przekonana, że teatr lubelski powinien się zdobyć i mógłby się zdobyć na znacznie więcej, niż dotychczas daje. Dlaczego powinien? Powinien dlatego, że Lublin jest w tej chwili najważniejszym ośrodkiem kulturalnym na prawym brzegu Wisły; że jest wielkim skupiskiem młodzieży studenckiej, której wszystkie działające tu instytucje kulturalne powinny dawać ze siebie maksimum; że (bliskość Warszawy wiele rzeczy utrudnia, ale wiele też ułatwia i do wielu zobowiązuje).

Myślę także, że mógłby zdobyć się na więcej.

Pierwszy warunek, obiektywny, to oczywiście druga scena, o którą woła się bez końca, a bez której trudno pomyśleć o sensownej robotce teatru w ośrodku kulturalnym typu lubelskiego. Drugi warunek to hojniejsza ręka miasta, jeśli idzie o mieszkania dla aktorów: kwestia mieszkaniowa to zresztą znana bolączka lubelskich środowisk twórczych, z najznaczniejszym, naukowym, włącznie.

Ale od warunków obiektywnych bywają czasem ważniejsze subiektywne — upór, zapal, inwencja.

Poprzedni okres w dziejach lubelskiego teatru cechowała nadmierna nerwowość, szarpanie się między ostatecznościami i przesadne mierzenie sił na zamiary. Ostatnie natomiast dwa sezony, znacznie bardziej wyrównane i rzeczowe, powiedziałyby — rozsądne, grzeszą swoistym minimalizmem zarówno w polityce repertuarowej, jak w gospodarce kadrami. Może to tylko przypadkowy zbieg okoliczności, ale faktem jest, że w ciągu dwu lat teatr lubelski utracił kilka bardzo obiecujących indywidualności twórczych. Wymienię te osoby, których odejście budzi we mnie największy żal: wszechstronny

aktor, Balcerzak; znakomicie zapowiadający się reżyser, Jerzy Goliński; utalentowana scenografka, notabene rdzenna lublinianka, Teresa Targońska. I wszyscy wymienieni emigrowali nie do Warszawy, co byłoby smutne ale ostatecznie zrozumiałe (wiadoma stolica!), lecz do innych miast wojewódzkich: Bydgoszczy, Kielc, Gdańska, nie mających nad Lublinem żadnej specjalnej przewagi. Jeśli idzie o reżyserię, teatr lubelski pozostawał przez dwa lata pod znakiem Zdzisława Tobiasza... p. Tobiasz odszedł, więc dajmy mu pokój. Znacznie mniejsze pole do popisu miała Zofia Modrzewska, drugi w tym okresie stały reżyser teatru. Wydaje mi się, że umiędłowność, a przede wszystkim wiedza pedagogiczna p. Modrzewskiej, stanowczo nie są odpowiednio wykorzystane. W ubiegłym sezonie reżyserowała tylko dwie sztuki, w tym niefortunne „Mężczyznę”, z góry chyba przeznaczonego na niewypał. A przecież widownia wciąż jeszcze ma w pamięci znakomitego Musseta, nieodparty dowód jak dużo i dobrze p. Modrzewska ma do powiedzenia, zwłaszcza w repertuarze XIX wieku.

Poza tym wydaje się, iż teatr powinien koniecznie zdobyć drugiego, prócz pani Modrzewskiej, stałego reżysera, którego kwalifikacje gwarantowałyby naprawdę atrakcyjny poziom artystyczny spektakli. Jak wiadomo przeżywamy obecnie erę reżysera-inscenizatora; rola reżysera jest szczególnie doniosła w teatrach, które — jak lubelski — dysponują głównie aktorami młodymi, często wprost ze szkoły. Młode zespoły potrafią dawać ze siebie bardzo wiele, ale pod warunkiem, że kieruje nimi jednostka o dużym doświadczeniu, albo jednostka o dużej inwencji twórczej. Wtedy możemy mieć do czynienia z takimi zjawiskami, jak teatr Dejmk i Skuszanka Ba, ale Dejmk i Skuszanka nie rodzą się na kamieniu, żadna dojrzała znakomitość

do Lublina nie stała się przyjeździe, pieszczone gołąbki nie wpadają do gąbki. Nie wpadają, to prawda, ale dałabym głowę, że wśród obecnych całkiem młodych reżyserów jest przynajmniej dwu-trzech nieprzeciętnie zdolnych (bo i czemu nie miałoby być?), i bardzo życzęlibym teatrowi lubelskiemu, aby kogoś z nich umiał przyciągnąć i utrzymać. Dyr. Torończyk ma dobrą rękę w odkrywaniu talentów scenograficznych (exemplum — Janusz Warpechowski) — obyż mu się równie poszczęściło z reżyserem.

Bo najstaranniej kreślona linia repertuarowa przy młodym, nierównym zespole, przy braku wybitnej indywidualności inscenizatorskiej — będzie coraz to znacząco niewypałałami. Takim klasycznym przykładem zmarnowanych możliwości był dla mnie zeszłoroczny, lubelski „Don Carlos”, sztuka mająca jak najbardziej uzasadnione miejsce na lubelskiej scenie, ale wystawiona w sposób, od którego ciarki szły po skórze. To samo mutatis mutandis odnosi się do adaptacji i reżyserii „Przedwiośnia”. I proszę nie mówić, że publiczności taka wystawa się podoba. Publiczności podoba się także „Rebeka” i inne szmiry, a rzeczą jedynej wojewódzkiej sceny jest nie iść na kompromis ze spaczonymi gustami, ale trzebić te gusta na równi z kulturowością i wstecznością. I dlatego skłonna byłam wysoko cenić blahe skądinąd, ale pełne smaku i finezji „Igraszki traju i miłości”, dlatego cieszy mnie nieklamany sukces kulturalnego „Cyda”, którego obejrzało z górą 40.000 widzów Lubelszczyzny (rekord ubiegłego sezonu).

Bo trzeba się chyba obu rękoma podpisać pod konkluzję „wstępniaka” z 20 numeru „Teatru”, że

„plaskie, nieartystyczne, lub szmirowate widowiska, choćby nawet głosiły najpiękniejsze slogany, nie przyniosły pożytku socjalistycznemu teatrowi, i że w tym teatrze nie powinno być dlań miejsca tak samo, jak dla widowisk wrogich ideowo”...

Żeby „nie-skromny” i rozsądny!

(Artykuł dyskusyjny)

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

Umknął niepostrzeżenie wrzesień-październik. Zdynamizowały się placówki artystyczne, czytelnik teatro-fil wyluskał z dzienników plany repertuarowe, recenzenci ostrzą już zęby bądź ząbki na poszczególne pozycje, ludzie teatru uśmiechają się. Plan? Wiadomo, dyrekcja strzela, a ktoś tam kulę nosi. Tak czy owak w społeczeństwie miasta Lublina nabrzmięwa chęć do dyskusji o Teatrze imienia Osterwy. Zatem dyskutujmy!

Ktoś może zapytać: dlaczego to pani M.B.-R. dyskutuje z panią A.J.-T. „na lamach”, skoro łatwo było tym paniom uzgodnić między sobą wszystkie kwestie w czterech ścianach redakcji? Ano dlatego, proszę Państwa, że opinie wydane przez Koleżankę Annę Tatarkiewicz są w jakiejś mierze reprezentatywne dla nastrojów górnych setek publiczności lubelskiej, podczas gdy wywody niżej podpisanej zbliżają się raczej do wspólnego mianownika zdań kursujących w zespole teatralnym. Czyli że dyskusja między nami-koleżankami jest z natury rzeczy już publiczna i nadaje się do ujawnienia... Właściwie najlepiej może byłoby dyskutować anonimowo, jak to czynią obywatela A i B w n-rze 45 „Nowej Kultury”. Ale nie wpadłyśmy w swoim czasie na zgrabny pomysł J. Chanlutina i M. Turowskiej, tedy obydwie usiłujemy z osobna wetknąć swój kij w mrowisko. Z jakim skutkiem — pokażą dalsze wypowiedzi, dla których kolumny „Kamery” stoją otworem.

Najsamprzód słówko o recenzentach, o tych prowincjonalnych, — co bynajmniej nie jest tematem dygresyjnym, jakkolwiek by się mogło wydawać. Czy rzeczywiście „trzeba mieć litość...”? Piszą, piszą — dla kogo? Ależ na pewno dla wszystkich! Czy źle, czy dobrze — aktor się wścieka, jednak czyta pilnie, a szerokie masy darzą lokalnego recenzenta ślepą wiarą (w pewnych tylko wypadkach postępując według maksymy arabskiej: poradź się żony i zrób na odwrót). Gdzież, na miły Bóg, piekielko? Odrobina komeraży kawiarnianych, dowiecnie udialogowanych przez Koleżankę Annę? Toż to naprawdę koszty autorytetu według taryfy ulgowej. Bywają koszty dużo większe. Przypomnijmy sobie gniew Zeromskiego,

piszącego o snobizmie w Warszawie, „która od niepamiętnych czasów, od samego przedwiośnia romantyzmu, jest miejscem pobytu i działania i słynie z kutyh na cztery nogi „krytyków i recenzentów”. Gdy się jest w którymkolwiek teatrze podczas „premier”, można nawet mieć szczęście oglądania twarzą w twarz i własnymi oczami tych rozdawców łaski lub niełaski dla dramatu i komediopisarzów, — owych korepetytorów w zakresie piękna i smaku, oraz walorów scenicznych dzieł wystawianych na scenie, którzy pouczają pracowicie — a według ich terminologii „wychowują” niedowarzoną, niekulturalną i w ogóle ciemną publiczność”.

Tak pisał autor „Sulkowskiego”. Co mówi o krytykach Witold Gombrowicz — tego wołę już nie przytaczać.

„Kto troszczy się o to, by recenzenci prowincjonalni mieli pojęcie?” — pyta Kol. Tatarkiewicz. — No, nikt. Bo któż by się miał troszczyć? Racja, Koleżanko Anno, że warszawski Klub Krytyków i Recenzentów przy SDP mógłby coś zrobić dla „pogłębienia” wiedzy ogółu swych członków. Ale w Lublinie analogiczne żądania kieruje

się niekiedy pod adresem Teatru Osterwy. Tymczasem wieloletnie doświadczenie wykazało, że im więcej recenzent obraca się w kółkach teatralnych, tym mniej odbija się w jego ocenach rzeczywisty stan rzeczy. Jedyną skuteczną radą — niech ci, co nie mają rozecznań, przestaną pisać. Ale o to nielatwo. Z niektórych wtrętów Kol. Tatarkiewicz wynikałoby, że się w tym punkcie zgadzamy.

Dalej — bardziej polemicznie — o gospodarce kadrami teatralnymi. Miało by odejście Balcerzaka, Golińskiego i Targońskiej być istotnie świadectwem grzechów popełnionych w ostatnich dwóch latach? Balcerzak... Niewątpliwie szkoda, ale odlot tej jaskółki nie robi jeszcze jesieni. Indywidualne upodobania widzów zakłajają niekiedy precyzyjnie sądów. Otóż na przestrzeni kilku lat dawniejszych straciłszy wielu dojrzałych bądź świetnie zapowiadających się aktorów i aktorek, takich na przykład, jak Loza i Buyno, jak filar repertuaru Juliusz Grabowski albo Jerzy Sliwa, bądź Kazimierz Iwiński, — jak zasłużony aktor i reżyser Czesław Strze-

(Dokończenie na str. 4)

Dekoracja Jerzego Torończyka do „Sulkowskiego”



Żeby „nie-skromny“ i rozsądny!

(Dokończenie ze str. 3)

lecki, jak Michnikowski, Olejarnik, Piotr Kurowski, Skwierczyńska, Michalik i Miszke, Marian Nowicki, Stanisław Gawlik, Kossudarski, Karyna Waśkiewicz, Klemens Mielczarek, Ilona Stawińska, Wojdalińska, Mozdżeńiwna... Odchodzili i wracali: Roman i Przybylska, Tadeusiak, Stefania, Drodzowski, Zawiszka (nie mówię już o najznakomitszych, którzy znaleźli się w Lublinie przypadkowo na skutek wydarzeń dziejowych, ani o tych, których zabrała śmierć). Gdyby się udało zsynchronizować pobyt w naszym mieście wszystkich wymienionych i kilku najlepszych nam wiernych, a nadto nowo zaangażowanych, powstałby fenomenalny, niebywały zespół-monstre, którego liczebność przewyższałaby znacznie liczbę rozporządzalnych etatów. Ale taki embarras de richesse jest rzeczą nienaturalną.

Trudno, aktorzy nie są glebae adscripti (choć nie brakowało niedawno pomysłów idących w tym kierunku). Różne bywają powody odejścia. No tak, często niewłaściwe mieszkanie — bardzo trafna uwaga Kol. Tatarakiewicza, — dane i nie dotrzymane nieraz z przyczyn obiektywnych przyrzeczenia, nieobsadzenie w wymarzonej roli, wygórowane pretensje małżonka (ki), będącego niejako dodatkową klauzulą

w umowie z wybitniejszą indywidualnością sceniczną, czasem — motywy dyskretnie przemilczane lub znużenie publiczności czy nagonka prasy (owszem, owszem!). I tak dalej, i temu podobne.

W ogóle migracja sezonowa aktorów jest zjawiskiem nagminnym w skali ogólnopolskiej. Kto chciałby poznać jej przyczyny, musiałby przeprowadzać głębszą analizę psychologiczną. U nas, chcąc oprzeć sądy na realnym gruncie, należałoby dokopać się do korzeni tkwiących nieraz w instytucjach nadrzędnych.

Nawiasem mówiąc, skoro już ma być argumentem na minus ranga miast, do których przenieśli się w tym sezonie nieodwołani nasi koledzy, to wypada nadmienić, że poza Bielskiem i Grudziądem, są to: Warszawa, Nowa Huta, Poznań, Szczecin — i zresztą istotnie Gdańsk, którego ze względu na poziom Teatru Wybrzeża nie godzi się nam zaszeregować niżej od Lublina. Co zaś do Kielc, dokąd wyfrunęła miła, utalentowana Teresa Targońska, to jakż wzięliśmy odwet! Przybyło do nas stamtąd dwoje scenografów: Liliana Jankowska i Antoni Tośta i bodaj aż pięciu aktorów.

Widzi mi się, iż świadectwem zalet czy wad gospodarki kadrami są może nie tyle odejścia, ile przyjścia, one to stają się miarą wysiłków wlo-

onych przez dyrekcję w trudne, ryzykowne operacje na giełdzie aktor-skiej. Sądzę, że o stratach i zyskach, z jakimi rozpoczynamy nowy sezon w Teatrze Osterwy, można będzie mówić konkretnie dopiero gdzieś w połowie grudnia, po serii trzech przygotowywanych obecnie premier. Ukazę się w nich prawie cały nowo ukształtowany zespół, wówczas zastąpimy wszelkie supozycje faktami. Na razie faktem jest, że zespół liczył weszłym sezonie 24 aktorów i 15 aktorek, dzisiaj zaś liczy respective 31 i 17, że liczba scenografów wzrosła z dwóch do trzech, a zamiast jednego reżysera stałego (Modrzewskiej, — bo Tobiasz nie był na etacie reżyser-skim) mamy pięciu. Są to: wybitny reżyser warszawski Jerzy Rakowiecki, autor naszej pięknej inscenizacji „Cyda”, pozyskany przez dyr. J. Toronczyka na etat, następnie Wiesława Tembacher-Sanecka, również z Warszawy, znany dobrze lublinianom Zbigniew Bessert i Jerzy Zegalski, z Jelesnej Góry. Pozostaje także nadal Zofia Modrzewska, o której z racją pisze Kol. Tatarakiewicz, że jej nieprzeciętne doświadczenie powinno być jak największe wyzyskane. Toteż dobrze się stało, bez wątpienia, że ta utalentowana i zasłużona reżyserka przygotowuje dla nas już na początku sezonu interesującą sztukę Lorki „Dom Bernardy Alba”, i słusznie się należy Pani Zofii uroczyście obchodzić 40-lecie pracy artystycznej, który się odbędzie wkrótce po Nowym Roku.

Warto poza tym zaszykalizować przyjazd Bohdana Korzeniewskiego,

który „zrobił” „Amfitriona 38” Giraudoux w sprawie scenograficznej Andrzeja Pronaszki. Znosi się też na to, że przyjęty u nas owacyjnie Jan Swiderski zawłada do Lublina powtórnie, by wyreżyserować sztukę przez siebie „znalezioną”.

Tyle pokrótce o gospodarce kadrami. Mówię jeszcze raz: jakie są nowe nabytki — to się okaże. W chwili obecnej przysługuję przybyłym dobrą nadzieję. Życzenie im sukcesów jest zarazem pragnieniem naszej własnej satysfakcji artystycznej.

Cóż o repertuarze? To się również okaże... Zwykle się repertuar zapowiada, doświadczenie jednak (nie tylko lubelskie) mówi, że należałoby go raczej przepowiadać. Z planami repertuarowymi bywa jak z prognozą pogody w meteorologii, tyle tu wyżów i niżów może wywołać zmiany: niespodzianki w tychże kadrach, cofnięcie u góry różnych akceptacji, powstanie nowej, lepszej sztuki etc., etc. W każdym bądź razie mówię się u nas poważnie o szekspirowskim „Coriolanie” (w bardzo ciekawej inscenizacji...), o wspomnianym już „Amfitrionie 38”, o „Balu wszystkich świętych” Broszkiewicza, o świetnej sztuce Robiesa „Montserrat”...

To prawda, Koleżanko Anno, że były posłigły w ubiegłym sezonie. Pani je wylczyła. Ale któż jest bez grzechu? (Wysoko uzdolnionemu reżyserowi-inscenizatorowi Jerzemu Golińskiemu zdarzyło się też rozłożyć u nas „Wędkę Feniksany”). Rzeczywiście „Mężczyzna” — to wstydliva pozycja. Jak do tego doszło? Od 1 stycznia br. nagle podwyższono plan objazdowy o 108%, a zespół miał być skompletowany dopiero od 1 października. „Mężczyzna”, „Mężczyzna”! Ale była przecież, oprócz „Cyda” i „Igraszek”, jeszcze znakomita realizacja „Romulusa” i ciekawa — „Smaku miodu” w reżyserii Zofii Modrzewskiej, że już pomijam ambitne przedsięwzięcie — „Cezarego Barykę”, bo ta inscenizacja wzbudziła zastrzeżenia mniej czy więcej słuszne.

Może dyskusję tę rozpoczęła „Kamena” nieco za wcześnie, ale chyba nie, bo 19 listopada otwiera sezon „Sulkowski”, w niewiele dni potem wchodzi na afisz O’Neilla „Księżyc świeci dla nieszczęśliwych”, wreszcie jak się rzekło, „Dom Bernardy Alba” — i różne zdania o pracy Teatru Osterwy zaczęły już kiełkować. Zanim jednak znajdą wyraz na łamach dzienników i czasopism (prawdopodobnie także pozalubelskich), chcę zaznaczyć, że placówka nasza stała się niejako kombinatem artystycznym zatrudniającym 170 osób, że na 350 przedstawień w bazie przypada 240 w terenie i że eo ipso repertuar winien być tak pomyślany, by prawie wszystkie sztuki mogły się nadawać na objazdy. A tymczasem sale, ogrzewanie, tablice rozdzielcze... pisałam o tym aż do znużenia w r. 1954 i ciągle te kwestie są jeszcze aktualne.

Jak najbardziej odpowiada mi hasło brzmiące w tytule artykułu Kol. Anny. Ja też nie cierpię „skromnych” teatrów. Więcej: sądzę, że każdy rasowy dyrektor powinien mieć na dnie serca to „Teatr mój widzę ogromny”, które jest jak buława marszałkowska w plecaku żołnierza. Tylko — tabliczkę mnożenia też powinien mieć na uwadze, bo nas często, „biednych ludzi, rzeczywistość ze snu budzi”.

Maria Bechcyc-Rudnicka

„DOM” bez „cegł”

JANUSZ BIAŁECKI

I „dom” i „cegły” znalazły się tu w cudzysłowach, gdyż chodzi tu o książkowe remanenty „Domu Książki”. Wall się tymi ceglami po głowach planistów, pisze o tym z ironią tak ciężką, jak tylko ciężkie mogą być tyłki książek-biblii. A tymczasem sytuacja nie jest aż tak zła. Jestem częstym gościem w księgarniach, prowadzących „ceglane” kącki i spróbuję zaproponować trochę optymizmu.

Powinno stać się właściwie rzeczą całkowicie zrozumiałą, że „rotacja” książki poważniejszej, „cięższej” może być tak długa, jak... jak długa jest maszyna rotacyjna. Encyklopedie, słowniki, książki naukowe i popularno-naukowe — przecież to nie przysłowiowa już Saگانka, czy inny ja-

Tadeusz Klak

(Dokończenie na str. 11)

(Dokończenie ze str. 1)

autorzy tym, że wielu robotników pracuje w terenie, co powoduje rozluźnienie więzi z miastem, albo też robotnicy powiązani są z miastem tylko pracą, a potem „wracają zmęczeni do domów i przeważnie nie myślą o niczym innym, tylko o zjedzeniu kolacji i śnie”.

Stwierdza się brak powiązania i współdziałania między grupami społecznymi. Dystans między inteligencją a pracownikami fizycznymi. Inteligencja zamyka się w grupach, żyje własnym życiem. Tak jest w Puławach, gdzie są dwa niepowiązane ze sobą środowiska: inteligencja związana z IUNG i innymi instytucjami oraz reszta miasta. Stosunek inteligencji do kultury określa następujący obrazek, Puław nie dotyczący. „Zjawienie się w świetlicy PDK kogoś z grupy inteligencji należy uważać za wielkie wydarzenie, lecz dana osoba tylko po to zjawia się, żeby wszystko skrytykować, po czym wyjść z niezadowolaniem i więcej się nie pokazać”.

Ciekawe zjawisko notują niektórzy z autorów. Oto pośród tej obojętności rodzą się nowe zjawiska, jak choćby zainteresowanie dorosłych oświatą. W jednym z miast szkoła średnia dla pracujących liczy więcej uczniów niż szkoła normalna. Wyjaśnia autor, skąd się to bierze: po prostu zwykła konkurencja. Wiadomo bowiem że zaczyna się liczyć przygotowanie do życia, do zawodu, wiedza, że wartość „pleców” — chociaż nadal jeszcze wielka i nie do pogardzenia — ciągle spada.

To samo zjawisko zostało zaobserwowane na wsi, w Kaplonosach czy w Kocudzy. „Mieszkańcy Kocudzy znani byli w okolicy z awantur. Dziś bójki należą do rzadkości. „Wśród motywów tego „nawrócenia” podane są na równi: strach przed karą i więzieniem oraz wychowawczy wpływ szkoły i organizacji. „Szkoła wieczorowa była konieczna, gdyż było dużo analfabetów wśród starszych(...)”. Dziś prawie każdy umie napisać pisanie czy list, z czym kilka lat temu mieli wiele trudności”.

MŁODZIEŻ

Ta grupa, tyle razy posądzona o wszystko najgorsze, co się u nas dzieje, tu — w wypowiedziach działaczy — jawi się w innym świetle. Ukazują się jej oblicza bardzo zróżnicowane. Ale młodzież jako całość ma upodobania wspólne. Pielęgnuje swoje ideały, jak np. posiadanie własnego motoru. Ona zapelnia sale na seansach filmowych, faworyzując oczywiście filmy kryminalne, przygodowe i wojenne. Młodzież jest tą grupą ludzi, która stosunkowo najczęściej czyta, dobre lub złe książki, ale czyta. Są od tej reguły, jak zobaczymy, wyjątki.

Najłatwiej bywa z młodzieżą szkolną. Ma określone rygory, musi się uczyć, często chce się uczyć. Najgorzej jest, rzecz jasna z młodzieżą bez żadnego zajęcia. Postuchajmy: „Smutny obraz przedstawia młodzież męska w wieku 16—17 lat, która ani nie chodzi do szkoły, ani też nigdzie nie pracuje. Ci młodzi chłopcy w dzień wystają w rynku miasta, po rogiach i palą papierosy, zajmując się równocześnie obserwacją

REPORTAŻ Z DRUGIEJ R E K I

przechodniów”. Co robią wieczorem, widzieliśmy na przykładzie Bilgoraja. Trudno ich do czegoś namówić, księżka i świetlica „to nie dla nas, niech się mądrzy zajmują takimi sprawami”.

Sprawą najżywością, która skupia zainteresowanie młodzieży, zwłaszcza chłopców, jest sport. Mecze są najbardziej popularną formą rozrywki, zwłaszcza mecze piłki nożnej. Na taką imprezę idzie w niedzielę pół Hrubieszowa. Być sportowcem na miarę Janowa, to marzenie wszystkich chłopców w wieku 14—16 lat.

INSTYTUCJE KULTURALNE, ROZRYWKI

Szkoła. Ma wpływ na młodzież oczywiście, a pośrednio i na dorosłych. Zławsza na wsi widzi się to bardzo wyraźnie. W Kaplonosach nauczyciele są organizatorami życia kulturalnego dla całej wsi. Nie wszędzie co prawda tak jest. W pięknej szkole w Końskowoli kierownictwo szkoły nie pozwoliło na zorganizowanie odczytu w szkole w obawie przed zanieczyszczeniem sali.

Biblioteki pracują na ogół dobrze i ofiarnie, ale zawsze prawie mają trudności lokalowe. Najwierniejszymi czytelnikami są dzieci i młodzież. Inteligenta w bibliotece nie ujrzy: albo nie czyta, albo zaopatruje się w książki sam. Czytana jest książka lekka, rozrywkowa, kryminalna. Ale są i czytelnicy wyrobieni, o głębszych zainteresowaniach.

Odczuwa się brak czytelników i świetlic. Czasem odnosi się wrażenie, że autorzy prac widzą w powstawaniu świetlic lekarstwo na wszystkie kulturalne dolegliwości. Szczególnie na wsi. Możemy w to wątpić, ale przykład Kocudzy mówi sam za siebie: „prawie wszyscy grają dzisiaj w szachy, podczas gdy cztery lata temu grał tylko jeden człowiek”. Argument nie do podważenia. „Świetlica łączy młodzież. Chociaż nie jest ona najlepsza, ale są zadowoleni, czują się jak w domu i odczuwają potrzebę odwiedzenia jej, chociażby nie ciekawego nie było. Ot aby porozmawiać wspólnie, pożartować. Coraz częściej wybierają raczej świetlicę niż gospodę”.

Zadziwia wielka niepopularność występów estradowych. Drogie bilety, kiepskie aktorstwo odpycha. „Spoleczeństwo jest rżone niedbałą grą aktorów, którzy uważają, że w małym mieście ludzie mniej znają się na sztuce i można ją odgrywać byle jak”. Ktoś widzi tu zasługę Teatru im. Osterwy z Lublina, który — widać to z wielu wypowiedzi — ma w województwie dobrą opinię życiowych odbiorców. Zdarza się jeszcze publiczność niewyrobiona. Np. w Łukowie na przedstawieniu „Wieży malowanej” Siemiona połowa ludzi wychodzi z sali,

uwając, że to „wyglupianie się i błaznowanie”, że lepiej było za te pieniądze iść do kina.

Ani śladu telewizji. Jedynie w Bilgoraju jest ona chlebem powszednim, czego można mu tylko zazdrościć.

Pracownicy powiatowych domów kultury skarżą się na obojętność środowiska w stosunku do ich działalności. Na spotkaniach autorskich i odczytowych sale świecą pustkami. Gdyby przyjechała Szmigielówna czy Machulski, na pewno wszyscy by przyszli.

Cóż więc ludzie robią z wolnym czasem? Padnie tu słowo, które zjawia się zawsze, gdy mowa o małym mieście: knajpa. „W samym Hrubieszowie jest pięć restauracji i jedna kawiarnia. Do restauracji przychodzi przeważnie starsi i o niższym wykształceniu, natomiast do kawiarni młodzież i o wyższym wykształceniu. Kino jest tylko jedno i zawsze przepelnione”. Proporcja tych placówek mówi sama za siebie. Ciekawy dla małych miast jest awans kawiarni, która ma już stały krąg odbiorców. Kogo tu się spotyka? „Staliśmy jej bywalcami są pracownicy biur i urzędów. Rej wśród nich woda pracownicy Prezydium PRN. Spotykają się oni prawie codziennie, przychodząc tu na bilard, „małą czarną”, kończąc dość często na kielszku”. Gdzie indziej chodzi się po prostu na „małą czarną wzmocnioną”. Ale głównym bywalcem kawiarni jest młodzież, zwłaszcza ta nie pracująca, która nie wie, co robić z wolnym czasem. Kawiarnia zdobywa sobie uznanie i powodzenie. Nawet dziewczęta mogą się już w niej pokazywać, bo do tej pory opinia uważała coś takiego za „szczyt amoralności”.

A więc wódka i knajpa są wrogami nr 1 kultury. W kielszku topią się wszystkie myśli i ambicje, w kielszku rodzi się to, co najgorsze. Wódka równa wszystkim: inteligenta, robotnika i urzędnika.

Dlaczego tak jest? Chyba sprowadzimy wszystko do braku kultury. Dużo wyjaśnia następująca wypowiedź. „Robotników również rzadko widuje się tak w pracach zespołów artystycznych, jak i na wieczorkach świetlicowych, gdyż tu potrzeba rozebrać się z płaszczem i zostawić go w szatni, a na sali nie można siedzieć w nakryciu głowy, bo inni zwrócą na to uwagę. Najczęściej można ich spotkać w gospodzie, gdzie mogą siedzieć bez spełniania tych czynności i przestrzegania jakichkolwiek form”.

Nie wszystko przekazałem z tego, co powiedzieli autorzy o swoich środowiskach. Nie o zespołach artystycznych. Wyszedł obraz raczej ciemny, ale światło jest coraz więcej i są one coraz jaśniejsze. Świadczy o tym choćby przykład Kocudzy czy Łukowa, gdzie w świetlicy PDK młodzież bawi się już kulturalnie, choć bywało inaczej. Radosny jest fakt, że stawia się na młodzież, na ludzi miejscowych, zorientowanych ze środowiskiem. Chociaż — to pewne — praca jest ciężka. „Praca w naszym środowisku nie należy do łatwych, ale to, co łatwo przychodzi, nie jest najpiękniejsze i najwartościowsze”.

LUBLIN- miasto MOJEJ MATKI

ANNA KAMIENSKA

Ileż razy z niecierpliwością wy-
patrywałam z okien pociągu widoku
Lublina. Już wyłoniła się na hory-
zonie charakterystyczna sylwetka
miasta. Poznając jego wieże. To wieża
Trynitarzka z kogucikiem na szczy-
cie...

Furkotał na wieży
blaszany kogucik...

Jak w wierszu Józefa Czechowicza.
To dwie wieże katedralne, to niższa,
solidna sylwetka Bramy Krakowskiej.
Bernardyni, Wizytki — poznają po
kolei. Pociąg pędzi. Miasto powoli
obraca ku nam swój profil. Jesteśmy
znowu w Lublinie.

Jak dobrze i jak boleśnie zarazem
błądzić starymi ulicami Lublina, za-
glądać do znajomych podwórów, wi-
tać dawne, zda się, znajome szcze-
ry murów i pęknięcia chodników. To
wszystko tu było i czekało na mnie,
podczas gdy ja włożyłam się po świe-
cie. Wspinając się pod górę i zbie-
gając w dół ulice prowadzą mnie
ślądami matki. To tędy biegła, już
osiwiała od wojennych przerażeń. To
tędy śpieszyła ze zdobytym bochen-
kiem chleba pod pachą. Nagle — to
ona. Serce bije. Przeszła siwa pani.
Nie. Matki mojej nie spotkam już na
żadnej ulicy Lublina, ani innego mia-
sta. Ale tu, wśród starych uliczek i
kamienie słyszę, jak bije jej serce,
gdy wchodzi pod górę śpiesząca się
jak zwykle i zapracowana.

A może spotkam tu siebie? Tę ma-
łą dziewczynkę w szkolnym fartusz-
ku z białym kołnierzykiem? Odwra-
cam głowę i spoglądam na wieżę z
zegarem, jak wtedy, gdy biegłam do
szkoły. Gest pozostał gdzieś głęboko
zachowany w pamięci. Która to go-
dzina? Jestem już dawno spóźniona.
Zadna z biegnących do szkoły dziew-
czynek nie jest mną.

Miły sprzedawca w księgarni św.
Wojciecha posłował, ale poznał mnie,
zobaczył mnie nagle w sztabackim
mundurku i powitał leciutkim uśmie-
chem.

Stare, piękne miasto. Co krok — to
inny detal architektoniczny, przed
jakim gdzie indziej może, nie w
Lublinie, wybaluszano by oczy. Łuk
okienno wydobyty spod tynku, har-
monijna attyka, głęboka nisza sta-
roświeckiego podwórza, zakręt wą-
skiej uliczki, balkon zawieszony na
rogu — i nagle piękny, rozległy wi-
dok na Zamek z parkiem rozciągają-
cym się u jego stóp. To dawna
cuchnąca łąka, źródło gruźlicy i reu-
matyzmów. Gdzieś się podziwały stare,
malownicze budy, lepianki, mieszka-
nia nędzy żydowskiej, zawieszona
dawniej jak ptasie gniazda nad ur-
wiskiem Starego Miasta? Cieszyli się
nimi tylko malarze. Patrzą na piękne,
szerokie rozwiązania urbanistyczne
zburzonej dawnej dzielnicy żydow-
skiej leżącej u podnóża Zamku. Sty-
lowe domki, obszerna plac z estradą
dla orkiestry, malownicze schody pro-
wadzące do Domu Kultury, mieszczą-
cego się w Zamku, dawnym ponu-
rym więzieniu. Jak tu pięknie! Tak
wyobrażam sobie jakieś włoskie mie-
skie pejzaże wtopione w krajobraz.
Lublinci korzystają z radosną nie-
frasobliwością z tych miejsc. Miesz-
kają tu, przyprowadzają dzieci, aby
biegały wśród barwnych ławek i zie-
leni, tańczy, siedzą na tarasach pię-
knych, nowoczesnych kawiarni. Czło-
wiek powracający po latach, niena-
wyki jeszcze do nowego życia tego
miasta, pamięta tutaj plomienie, śnieg
puchu z rozdzieranych pierzyn, jęk i
krew przeciekającą przez sufity. Zycie
jest nieublagane i zwycięskie. Chwila
bolesnej zadumy nie może
przecież przetrwać nowego życia, no-
wego miasta rosnącego bujnie i szer-
oko.

Bo oto nagle błądząc po dawnych
ślądach, osaczeni wspomnieniami dzie-
ciństwa dochodzimy do dzielnicy, wo-
bec której słajemy zdumieni. Tędy
biegano się za miasto. Tu było szcze-
re pole, pustka, tu tak zwane górkę,
gdzie można było bawić się w cho-
wanego wśród zrudziałej trawy i żół-
tych dołów z gliny. Tu nie nie było.
Teraz ciągną się osiedla robotnicze,
nowoczesne bloki, wspaniałe sklepy za-
szklany wystawami (ach, te laleczki
z cukru kupowane w sklepie sta-
rej Klarowej, szczyt marzeń!).

I oto na naszym starym Lublinie
rosnie nowe wielkie przemysłowe
miasto. Młodość Lublina jednak to nie
tylko wielkie fabryki i zakłady prze-
mysłowe, to nie tylko nowe dzielnice.
Lublin, mimo że zawsze skupiał spo-
ro młodzieży szkolnej, zwłaszcza gim-
nazjalnej, był miastem ludzi starych.
Na Starym Mieście z resztą pełno by-
ło różnych domów starców. Snuły się
babunie i dziadkowie wsparci na
swoich laskach. I to był widok cha-
rakterystyczny dla Lublina. Dziś Lub-
lin jest miastem pięciu (pięciu!) wyż-
szych uczelni. Czy mam je wymienić?
UMCS — Uniwersytet Marii Curie
Skłodowskiej, KUL — Katolicki Uni-
wersytet Lubelski, Akademia Me-
dyczna, Wyższa Szkoła Rolnicza, Wyż-
sza Szkoła Inżynierska, nie licząc
różnych innych szkół wyższego typu,
jak np. Studium Nauczycielskie.

Lublin jest młody. Gdziekolwiek
wstąpić — młodzi. Na kierowniczych
stanowiskach — młodzi. W muzeum,
w bibliotekach, na placówkach kul-
turalnych — wszędzie młodzi.

I to jest znowu prawo życia. Przy-
jezdźnia, który już nie ma tu domu i
najbliższych — może się poczuć w
pewnej chwili obco. Chciałby jednego
tylko — przejść się jeszcze na stary
cmentarz lubelski i położyć kwiaty na
znajomym grobie.

Ale to tylko chwila. Nagle i on od-
czuje potęgę tego wielkiego strumie-
nia życia, wartkość i prężność tej siły,
która nie pozwala ginąć, spoczywać,
roztkliwiać się w bezprzedmiotowym
sentymalizmie, ale prze naprzód,
rozwiija się, rośnie i rozkwita.

Furkotał na wieży
blaszany kogucik...

Nie, uroczy wiersz Czechowicza mówi
już tylko o dawnym Lublinie.

Nowy Lublin czeka na nowego swo-
jego poetę. Nowy Lublin czeka na no-
we słowo.

LISTY MUZYCZNE

(IV)

ZBIGNIEW WIELICKI

Budapeszt, 12 stycznia 1939 r.

Wielce szanowny Panie!

(...) Co do zamierzonego wykonania
I Koncertu fortepianowego w Deutsch-
landsender muszę zauważyć, że koncert
ten jest wyjątkowo trudny dla or-
kiestry. Jeżeli orkiestra i dyrygent nie
są absolutnie najwyższej klasy, jeżeli
nie ma dostatecznego czasu na próby, to
lepiej będzie zrezygnować z wykonania.
Poza tym dziwi mnie zaniedbanie od-
tworzenia właśnie w rozgłośni radiowej tego
rodzaju „zwyrodniałej” muzyki.

Pański —

Béla Bartók

Nowy Jork, 17 grudnia 1944 r.

Droga Pani Creel!

(...) Mam nową kompozycję: sonatę na
skrzypce solo, którą napisałem dla Me-
nubina. (...) Obawiałem się, że będzie
ona za długa, proszę sobie wyobrazić: 20
minut nie innego tylko słuchać skrzy-
piec. (...) Jesteśmy wszyscy zaniepokojeni
sytuacją na Węgrzech, a zwłaszcza w
Budapeszcie; przeklinamy Niemców, to
nie przynosi nam jednak ulgi.

Z wyrazami szczerzej przyjaźni —
Béla Bartók

Lublin, 16 października 1960 r.

Szanowna Pani!

W 1938 r. oburzony Bartók gorąco
protestował, że jego nazwisko nie fi-
gurowało na urzędzonej przez Goebbelsa
w Düsseldorfie wystawie „zwyrodniałej
muzyki”. Stąd zdziwienie, że pian-
ista niemiecki Priegnitz zamierzał
grać jego koncert fortepianowy. Pra-
premiiera tego I Koncertu odbyła się w
1927 r. we Frankfurcie nad Menem.
Grał kompozytor, orkiestrą dyrygował
Furtwängler. Prawykonanie II Koncer-
tu fortepianowego odbyło się również
we Frankfurcie. Grał autor, dyrygował
Rosbaud. W 1933 r., na 3 dni przed ob-
jęciem władzy przez Hitlera. To z po-
wodu politycznych związków Rzeszy z
Węgrami na tej „wystawie” hitlerow-
skiej nazwiska Bartóka nie było obok
partytur Strawińskiego, Berga, Schön-
berga, Hindemitha i wielu innych. Fur-
twängler i Rosbaud pozostali w hitlerii,
pozostał Bachaus i Ryszard Strauss.
Wyjechali z niemieckiej ojczyzny To-

JEAN COCTEAU

* * *

Włosy siwe, gdy młodość je nosi na sobie,
czynią oczy słodszyimi, a i cerę gładszą;
w porze wiosny przyjemność odczuwam
podobnie,
kiedy, drzewa oliwne, na was się popatrzę.

Morze śliną swą świeżą i gnuśną stopniowo
wyrzeźbiło brzeg grecki gładząc głaz za głazem,
aby wasza oliwka, ten dwuznaczny owoc,
zawarła w sobie Venus z Cybelą zarazem.

Wszystko w waszej młodości oszronionej
srebrnie
podoła mi się bardzo — mnie, com zimny
słońcem,
co różę nagą czasem jak i wy też rzewnie
młodą głową popiołem pokrytą potracę.

Mało deszcz mnie obchodzi i szkliwo jesieni
i że wiatr galopuje, że morze się pieni,
ja cierpię inną porą —
gdy w sereu moim nie ma słońca ani pluchy,
ani ziemi, na której dom by wsparł się kruchy,
ani domu podpory.

Więziem świątyni, której skryli się kapłani,
nie mam żadnej nadziei. Oczy są oknami,
przez które wyjść nie sposób.
Nawet cudu odmawia ta religia mroczna.
Kapłani się ukryli. Usta me — wyroczenia,
lecz strach... nie wydam głosu.

PRZEŁOŻYŁ KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

masz Mann i Paul Hindemith. Nie wró-
cił na Węgry uczony, kompozytor i pia-
nista — Béla Bartók. We wrześniu br.
minęło 15 lat od jego śmierci na obczy-
źnie, w Nowym Jorku. Zabrakło pienięd-
zy na koszt pogrzebu... Ostatnie 17
taktów III Koncertu fortepianowego
instrumentował uczeń genialnego mu-
zyka — Serly. W 1961 r. minie 80 lat
od daty urodzin tego kompozytora, jed-
nego z największych koryfeuszów muzy-
ki nie tylko XX wieku, człowieka czy-
stego i szlachetnego, a dumnego. Pod
koniec 1942 r. na tułaczym szlaku w
USA, zżerany powoli przez bliźniaczkę,
pisał doktor h. c. Uniwersytetu Colum-
bia:

„(...) Moja kariera kompozytorska
właściwie skończyła się: quasi bojkot
moich utworów przez czołowe orkiestry
trwa nadal. Jest to wielki wstyd — na-
turalnie nie dla mnie.”

Na prośbę swego przyjaciela, założy-
ciela i kierownika Bazylijskiej Orki-
estry Kameralnej, dyrygenta Paula Sa-
chera, napisał Bartók swe najlepsze
dzieła: „Muzykę na instrumenty stru-
nowe, perkusję i celestę” i Sonatę na
2 fortepiany i perkusję. Oba utwory
wykonano w Bazyli w 1937 i w 1938
roku. „Muzyka” była dla mnie naj-
większym przeżyciem tegorocznej wrze-
śniowej Warszawskiej Jesieni, a Sonata
— wrześniowego Festiwalu Muzyki
Współczesnej w Wenecji. Obyło się bez
rocznic. Grano. Ale nie zawsze i nie
wszędzie. Jednoaktową pantomimę „Cu-
downy mandaryn” ukończył kompozy-
tor w 1919 r. Polityczna i kościelna cen-
zura nie dopuściła na Węgrzech do wy-
konania dzieła. Prapremiera odbyła się
w 1926 r. w Kolonii i natychmiast po
niej zakazano dalszych przedstawień
z rozporządzenia nadburmistrza Kolo-
nii, pana Konrada Adenauera (ten
sam). Budapeszt wystawił „Mandaryna”
dopiero w 1945 r. W przeszło 40 lat
od ukończenia dzieła i w 15 lat po
śmierci twórcy poszedł huczek po
Polsce: balet Opery Bałtyckiej wysta-
wił „Cudownego mandaryna”. Dozwol-
one od 18 lat. Tak się podobalo, że
zapomniano, iż ten balet (podobnie jak
i inne) nie istnieje bez muzyki, więc
bez Bartoka. Kiedy wreszcie zdecydow-
ano się pokazać „Mandaryna” na Je-
sieni Warszawskiej, dyrygent Wodiczko
zdążył wreszcie zmienić posadę z Ope-
retki Łódzkiej na Filharmonię w Rey-
kjaviku.

Mam przed sobą program koncertu
Bazylijskiej Orkiestry Kameralnej pod
dyrekcją Sachera z 11 czerwca 1940 r.
W tym czasie byłem w Warszawie, za
3 dni miał paść Paryż. W wolnej Szwaj-
carii wykonywano po raz pierwszy „Di-
vertimento na smyczki” Bartóka po-
święcone Sacherowi i jego orkiestrze.
W 20 lat później, 10 czerwca 1960 r.,
zespół smyczkowy Państwowej Filhar-
monii im. Henryka Wieniawskiego w
Lublinie pod dyrekcją Mariana Lewan-
dowskiego wykonał „Divertimento” ge-
nialnego muzyka węgierskiego. Jeśli
wspominam ubiegły sezon koncertowy

i „Eroice” pod dyrekcją Katlewicza, to
jednocześnie sądzę, że o ciężarze gatun-
kowym tego dobrego sezonu świadczą
wykonania Kwartetu Debussyego, I
Kwartetu Bartóka, „Preludiów tanecz-
nych” Lutosławskiego, II i III Sonaty
fortepianowej Prokofiewa, I Koncertu
skrzypcowego Szymanowskiego (Wroń-
ski, Lewandowski), M. de Falli „Ludo-
wych pieśni hiszpańskich” (Łukomska,
Lewandowski), „Capriccio” Strawiń-
skiego (Żmudziński, Cwojdzkiński) i
przede wszystkim Strawińskiego „Pe-
truszki” (Lewandowski), Lutosławskie-
go „Muzyki żalobnej”, poświęconej pa-
mięci Bartóka (Cwojdzkiński), i właśnie
bartokowskiego „D. vertimenta”. Wstrzą-
sająca II część tego utworu kojarzy mi
się, choć nigdy nie dopatrzyłem się tre-
ści literackich nawet w dziełach pro-
gramowych, z oglądanym ostatnio fil-
mem — dokumentem — „Procesem w
Norymberdze”.

Należy więc nadal i więcej niż do-
tychczas grać Bacha, Haydna i Mozarta,
ale powodem do dumy i zadowolen-
nia z siebie (nawet bez zadowolenia
publiczności, nawet ubrew jej oporom),
może być wykonywanie tylko muzyki
XX wieku, choć nie każdą w tym wie-
ku pisaną można do naszego stulecia
zaliczyć. Jest to też i obowiązek i nie
tylko w muzyce. Filharmonia to świa-
tynia sztuki. Ale winna to być świątynia
nowoczesna, pełna światła i powie-
trza, a nie katakumby, wszystko jedno
czy z nietoperzami czy z molami.

I tak, proszę Pani, rozpoczynamy no-
wy sezon koncertowy. Koncert inaugu-
racyjny był poświęcony muzyce polskiej
(7 października). To ma być tradycja,
ale to nie jest wcale dobra tradycja.
Poza tym uroczysta a pompatyczna
muzyka robi coraz mniejsze wrażenie.
Ja wolabym nawet te utwory drama-
tyczne, powiedzmy „Uwerturę tragiczną”
Brahmsa (1880), albo jeszcze lepiej
„Uwerturę tragiczną” Panufnika (1945).
Po raz pierwszy w Lublinie słyszeli-
śmy II Symfonię Szymanowskiego (1910
rok). Doceniając piękno tego dzieła i
sukces wykonawczy orkiestry pod dy-
rekcją Andrzeja Cwojdzkińskiego, muszę
powiedzieć, że klimat tej muzyki wy-
wodzący się z końca XIX wieku, jest
mi coraz bardziej obcy, a nawet „Har-
nasie” tracą w zestawieniu z „Cudow-
nym mandarynem” Bartóka, o czym
mogłem się dwukrotnie przekonać na
przedstawieniach w Operze Bałtyckiej.
Na drugim koncercie (14 października)
nie słyszeliśmy „Don Juana” Ryszarda
Straussa (1889 r.) i to jest duża strata.
W planie repertuarowym IV kwartału
br. pozostało nam bowiem z mojego
punktu słyszenia, oprócz II Koncertu
fortepianowego Brahmsa i wykonywa-
nych już „Tańców rumuńskich” Bartóka
(1915 r.), wysłuchanie już tylko Koncer-
tu fortepianowego na lewą rękę Ravela
(1931 r.) i IX Symfonii Szostakowicza
(1945 r.) zamiast Symfonii I, której od
2 lat nie mogę się doprosić.

ZE WSPOMNIENI RAVENSBRÜCKICH*

FELICJA PANAK

Przysłowie mówi, że wśród szczęku oręza milkną muzy. W naszych czasach można by ukuć inne przysłowie. Gdy zabraknie chleba, sztuka jest pokarmem.

Przez obóz w Ravensbrück przeszło — według Eryki Bauchman, autorki książki „Tränen von Ravensbrück” — 132 tysiące kobiet. Stracono 92 tysiące. W obozie ciasnota, brud, zimno, praca ponad siły, straszliwy głód i jeszcze większe poniżenie człowieka. Chodziło o to, aby człowiek wyżył się największej swej wartości — człowieczeństwa, aby stał się zwierzęciem i szybko umierał. Według Niemców za wolno więźniowie umierali, więc trzeba było budować komory gazowe, przeprowadzać selekcje, — uprawiać masowy mord na bezbronnych i bezsilnych.

Musiłyśmy się bronić. Jeśli nie przed śmiercią to przed utratą godności ludzkiej. Musiłyśmy tworzyć swój własny świat piękna.

Za kawalek czystego papieru i skrawek ołówka szło się do bunkra albo do karnego bloku. Ale kupowało się je za wydzieloną małą porcję gliniastego chleba, jeśli się nie dostało od koleżanki pracującej w kancelarii obozowej. I rysowały znane już malarki, by stworzyć dokument strasznego cierpienia ludzkiego i pokazać światu strasliwe bestialstwo zbirów hitlerowskich. I próbowały swych sił przyszłe adeptki Akademii Sztuk Pięknych. Rzeźbiarki wykorzystywały trzonki od szczotek do zębów i guziki i tworzyły istne cuda.

Przed wszystkim jednak żyłyśmy poezją. Ona była naszym pokarmem, dającym nam siły do przetrwania. Powtarzałyśmy utwory od Mickiewicza, Słowackiego i Norwida po Broniewskiego, Słonimskiego i Gałczyńskiego. Jak bliskie były sercu naszym inwokacje Mickiewicza, „Smutno mi Boże”, Słowackiego czy Norwida „Tęskno mi Panie”. Jakże inaczej je wypowiadałyśmy niż w kraju. Gdyby tych słów nie wypowiedziano w czasie tamtej niewoli, któraś z naszych poetek powiedziała by je teraz, na pewno. Taka była mowa naszych serc.

Poetek w obozie było bardzo wiele. Zapisywały w strofach prostych, czasem naiwnych, czasem pięknych nasze przeżycia, nasze myśli i uczucia, tęsknoty i marzenia. Jedną z wielu, ale chyba i jedną z najwybitniejszych na terenie obozu była Grażyna Chrostowska. Gdy przywieziono ją do obozu, miała 19 lat. Aresztowano ją wraz z ojcem i siostrą za pracę konspiracyjną.

* Jest to wspomnienie o poetce lubelskiej.

Pamiętam pierwsze wrażenia, gdy ją poznałam. Miała drobną postać, śliczną prawie dziecięcą twarzą, duże smutne oczy i krótko przyszywane, wynykające się spod chustki jasnoniebieskie włosy. Czytałyśmy jej wiersze, uczyłyśmy się ich na pamięć i podziwialiśmy umiejętność patrzenia na ludzi i ludzkie sprawy, mądrość i powagę nad wiek i wielką wrażliwość. Potrafiła uczucia i myśli wyrazić w formie prostej a pięknej, obrazowej, a obraz przybliżyć zgodnie z prawdą i plastycznie.

Niebo przetarte skrzydłem ptaka
Wschodzi z rumieńca do jasności.
Księżyc na wprost słońca
Wszystko w promiennym obłoku.
A noc przepływa bokiem.

Grażyna Chrostowska stworzyła obraz niezapomniany środkami najbardziej prostymi.

Grażyna nie opisywała życia obozowego, nie była jego kronikarką i malarką. Była raczej zamknięta w sobie, mało mówna. Może zwierzała się ze swych myśli i marzeń najbliższym koleżankom. Miała siostrę, którą uwielbiała. Patrząc na nią zdawało się, że przeżywa obóz jakby nie widząc codziennych okropności.

A mimo to w utworach swych zawierała całą prawdę o obozie.

Do obozu dochodziły odgłosy przejeżdżających pociągów. Słychać je było wieczorem, gdy zapanowała kompletna cisza, gdy każda z nas pozostawała przed snem na chwilę sama z sobą, słychać je było również podczas apelu. Wznagaly te odgłosy żal, tęsknotę, rozpacz, że przejeżdżające pociągi nie zawiozą nas do kraju, do rodziny, że nie uwolnią nas od koszmarnych dni.

Stoimy szeregami
W sercu ciszy.
Cisza jest pełna prostoty.
I wtedy właśnie szum
Przybliża tętno, stukot kół
I drobne dziecinne dzwonki.
Pociągi jadą... pociągi
Kolami walą o szyny.
Świat długi, ten sam, z daleka —
Ja też, ja też — poczekaj!
Ominął wszystko i ginie.
My dalej stoimy.
W ciszy milczącej, bez głosu.
Świat zdaje się jasny.
I prosty jak na dloni.
Obraz — podczepiane wagony.

Poetka podkreślała wiele razy tę okropną ciszę — nie taką, jaką odczuwamy, gdy znajdziemy się na polu lub w lesie, ciszę kraplącą i kojącą, ale ciszę milczącą, bez głosu, gdzie żaden ptak nie zatrząpoc skrzydłem i wiatr nie zaszeleści liśćmi, — a my wśród tej ciszy nieme, bezsilne, nieruchome — podczepiane wagony.

Wyrazem buntu i tęsknoty jest wiersz „Podróż”. Grażyna tęskniła do wolności, do przyrody. Chciałaby radować się życiem i pięknem — tym wszystkim, co prawem jest każdego człowieka, co prawem jest przede wszystkim jej, 19-letniej dziewczyny. Ale, jakby w przeoczeniu rychłej śmierci, mówi:

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Na obraz w ołtarzu

Więć że w tamtej godzinie, o której nie wiem ponad to, że wybita dzwonem i tiknięciem werku, wiotkim oddechem kogoś, kto odchodzi, gdzie oddech nie już nie wart, a także westchnieniem kogoś, kto po raz pierwszy odetchnął — że wtedy dwa portrety dziś w moim wiszącym pokoju w swych strojach starej daty pociesznych przyklejły i dając sobie ręce zamieniły słowa znane wszystkim, a których spełnienie otwarło usta moje i moich — śmieśnie wspomnieć — wnuków a więc że się spełniło tak, jak każe Zakon i podchmielony družba napomykał sprośnie — o panno malowana, o panno z Magdali, co podniosła swą dramę patetycznie grasz i z wielką sztuką rzucasz zbrocza twoich włosów o kolorze talarów Maryi Teresy na chmurny cynkwajs nieba, chłodny kobalt krzyża, baczając, aby o cal się wychylił poza kanon złotej symetrii — dlatego dziś żywie dla ciebie coś większego ponad chłodny podziw, smuglewiczowska damo...

W sennych jeziorach mrą widziadła
Popatrzę w głębię wód
Przeniknę ciemność dojrzę na dnie
Na piaskach niemy grób.

Ten grób jest częstym motywem jej poezji. W jednym z utworów nawet tęskni do grobu. Widać jak bardzo tę młodą dziewczynę zaczynała dopiero poznawać życie i rwącą się do życia — przygniatał obóz i jego okrucieństwo.

W dniu, w którym zabrano ją na zawsze spośród nas, napisała wiersz „Niepokój”. Niepokój, lęk odczuwała w całej przyrodzie i w sobie. Cały dzień jest niepokojem.

Dzień ten, taki właśnie, jak „Niepokój” Szopena,
Ptaki nisko kołują nad ziemią,
Niespokojne, spłoszone z gniazd swych,
Nad słuchują...
W przyrodzie cisza, Ciepło, jak przed burzą,
Z zachodu płyną niskie, ciemne chmury.
Przewalają się po niebie wiosenne wichury.
Przyczajony lęk w sercu. Tęsknota, tęsknota...
Chcę chodzić po rozmokłych, po dalekich drogach,
Słuchać wicherów, łowić oddech wiosny,
Czuć najgłębiej, odnaleźć ciszę miłości.
Idę, nie znajduję, wciąż wracam i wracam,
Gdzieś daleko zostały chałupy wieśniacze,
Chmury poszły na wschód
I na wschodniej stronie
Stoją drzewa samotne, ciemne, pochylone,
W wietrze stoją i ciszy
Chwiane niepokojem.

18 kwietnia 1942 r. rozstrzelano ją wraz z siostrą w grupie 13 kobiet.

OLBRZYMI obłok kurzu sunął za naszymi autokarami od samego Krosna i opadł dopiero, kiedyśmy się zatrzymaliśmy między nową piękną szkołą a parkiem otaczającym dworek Konopnickiej w Żarnowie.

W taki sam piękny dzień jesienny i w takim samym tumanie kurzu jechała w 1903 roku Maria Konopnicka, w towarzystwie przyjaciółki swej malarki Marii Dulebianki, z najbliższej stacji kolejowej Jedlicza. Ale jechała odkrytym powozem, zaprzężonym w parę gniadoszów i odprowadzała ją konno „banderia” z dwudziestu dziańskich parobczaków w białych świtkach i krakowskich magierkach. Za powozem ruszyły liczne bryczki z okolicznych dworców i wsi. Była susza i kurz tak wielki, że po drodze Konopnicka nie widziała z tych pięknych okolic, które później będzie opisywać w listach do Orzeszkowej.

Raptem woźnica ściągnął lejce. Zwolniono biegu, powóz zaczął się toczyć w dół, wjechano na prom na rzeczce Jasiołce. Mostu na niej nie było. Na granicy żarnowieckiej przed dębem ustawiono coś w rodzaju łuku triumfalnego, białą bramę opleciono girlandami z jedliny. Wśród tych wieńców widniał napis ułożony przez miejscowego nauczyciela Widlarskiego:

„Witaj nam, pieśniarko ludu na tym zagonie!”

Na końcu alei świerkowej stał z chlebem i solą kowal Turtek i gospodarz Adamik. Na bochenku olbrzymim jak koło od wozu, spoczywał zrobiony z bryły soli wielickiej orzeł biały. Turtek zaczął powitalną orację słowami:

— Pani nasza, orędowniczo nasza...
Ale Kmieć szturechnął go pod bok:
— Uważajta, kumie, bośta w pacierz wleźli...
Mówcy nie można się było dziwić: przecież tę panią miało się witać jak biskupa... Tak przynajmniej opowiadała panu Leszkowi Solińskiemu córka poetki, pani Zofia Mickiewiczowa.

Konopnicka, zmęczona upałem, w czarnej sukni i w czarnym dużym kapeluszu ze strusimi piórami, z trudem powstrzymała śmiech, bąknęła coś w odpowiedzi i prędko przez ganek weszła do sieni, bo pilno jej było obejrzeć swoją siedzibę. Ale musiała tu jeszcze wysłuchać powitania pośta Bojki w stroju ludowym i pań lwow-

skich, które przyczyniły się do urządzenia dworku.

Pójdźmy za nią do otwartego w tym dworku Muzeum jej imienia. Na prawo jej pracownia i sypialnia. Tuż przy drzwiach na lewo stał dziwny przyrząd gimnastyczny, do którego wchodziła, aby ćwiczyć schorzałe serce. W głębi w kącie mieścił się tapczan, na którym czterdzięci sześć lat po śmierci Konopnickiej we Lwowie umarła naprzód córka poetki Zofia Mickiewiczowa, a później zaprzyjaźniona z nią Wanda Siemaszkowa, obydwie pochowane na cmentarzu w Jedliczu.

Obecnie w tym pokoju wiszą portrety drugiej córki poetki Laury Pytliskiej w charakterystycznych strojach z okresu secesji, a w sąsiednim długim i wąskim pokoju ustawiono rzędem gabloty ze wszystkimi dostępnymi wydaniem dzieł Konopnickiej.

Stamtąd wychodzimy znów do sieni, którą od frontowej dzieliła dawniej ścianka wewnętrzna. Teraz tej ściany nie ma. Dom zyskał przez to na przelotowości, ale stracił pierwotną intymność typowego dworku wiejskiego o dwóch ganekach: frontowym, paradywnym i gospodarskim czy kuchennym. Co prawda ta druga siena prowadzi na najpiękniejszy zakątek domu, na taras i krytą werandę z przeszklonym widokiem na nisko płynącą pod urwiskiem rzeczką Jasiołkę i na wzgórze błękitniejące w oddali. Takie już było widać przeznaczenie Konopnickiej, żeby w najwęższej młodości (w klasztorze Sakramentek w Warszawie) i na schyłku żywota patrzeć w dal na śnieżną przestrzeń ukochanego kraju...

Ale wróćmy do pierwszej sieni, w której stoi krakowski skrzynia ze strojem wyhaftowanym przez Włodzimierzową Tejmajerową i Lucjanową

Żarnowiec ongi i dziś

STEFANIA
PODHORSKA-OKOŁÓW

Rydłową. Powiało wspomnieniami Młodej Polski...

Na lewo wchodzi się do najobszerniejszego pokoju jadalnego, gdzie oprócz zwykłych sprzętów stoją sztalugi z niedokończonym portretem Konopnickiej pędzla Dulebianki, niedokończonym i może dlatego pełnym uroku. A nad stołem jadalnym staroświecka wisząca lampa z kloszem, tak bardzo na miejscu w ojczyźnie Łukasiewicza, wynalazcy pierwszej lampy naftowej.

Stąd drzwi prowadzą do korytarza, który przecina dalszą część domu wzdłuż. Po stromych schodach można wejść na pięterko, gdzie dwa pokoiki zajmowała niegdyś Dulebianka. Dziś przeznaczono je dla rodziny. Gościli w nich niedawno dwie wnuczki Konopnickiej, panie: Zofia Grankowska i Krystyna Rojkiewiczowa, stałe zamieszkałe w Łodzi. Po dworku oprowadzał mnie młody adept architektury, prawnik poetki, pan Konopnicki. Poza tym na uroczystości i na sesji naukowej w Łańcucie była obecna 82-letnia siostrzenica Konopnickiej, córka jej najmłodszej siostry Celiny. Kontakty rodzinne z dworkiem zostały utrzymane...

Czas już opuścić ten dom, bo przed gankiem czekała na swoją kolej dzielnica z żarnowieckiej szkoły, następcy tych wszystkich Ziemiaków, Turków, Kłatków, Przybyłów, Wróblów, Kłosowiczów, którym poetka naprzód czytała swoją książkę o „Krasnoludkach i sierotce Marysi”, a później dopomagała w zdobyciu studiów i utrzymywała kontakt aż do śmierci. Czas im ustąpić z drogi. Teraz na nich przyszedła kolej...

CZESŁAW TWARDZIK

Sierpień

Krokami mierzę uprzątnięte rżysko,
Już mi tu runa pszenne nie zbierać.
Konikom polnym — pryskającym iskrą
Zostawiam ciepłe ślady Guliwera.

W ściernisku milion żywych kastanietów,
Strofy zagonów drgający skwar przykrył.
Wzdłuż wyczytanych żniwiarką werstów
Przesuwam siebie, spóźniony wykrzyknik.

Spocony sierpnie szczęściem sercu kłamię,
Miedze w horyzont podpełzają cicho,
Filozoficznie wskazując mi kamień,
Gdzie przycyżony czyha śmierć chichot.

To chyba wszystko. Nikogo nie spotkam.
Wzorem minąłem brzemiennej Euterpe...
W dłoni zaciskam wypadły ze snopka
Kłosa? Nie, to osiet. A przecież nie sierpnie.

W poprzednim numerze pisałem już pokrótce o kursie oświatowym w Puławach. Obecnie chciałbym podać parę refleksji, portretów i obserwacji.

Dwudziestoosobowa grupa uczestników. Cała różnorodność usposobień, poziomu, wyrobienia i doświadczenia społecznego. Są to pracownicy z Bibliotek Powiatowych (w większości), Powiatowych Domów Kultury i kilku pracowników etatowych ZMW. Zespół scala się szybko, młodzież jest spoiwem nierozdzielalnym. Ciągłe niepokoi nas, jak się odniosą do zajęć z psychologii i socjologii, dziedzin zdaje się dla większości zupełnie nowych — może wydadzą się im zupełnie zbyt ciężkie i nieatrakcyjne?

Janina M. (ZMW), bystry i ruchliwy chłopiec. Niedawno po maturze. W dyskusjach zadziorny i zapalczywy. Umie jednak ładnie formułować myśli i trafnie dostrzegać sprawy istotne. Poza tym za wiele rzeczy jest jeszcze dla niego jasnych i prostych. Bardzo towarzyski, umiający i lubiący się bawić.

Doznał już smaku pracy społecznej. Odpowiada mu chyba ten rodzaj aktywności. „Material” na działacza. Zostanie nim, jeśli nie zmanieruje się i nie wywiechnie w środowisku powiatowym, jak to się stało z wieloma młodymi potencjalnymi społecznikami w terenie.

Wykłady p. H. Namowicz z psychologii. Problematyka trudna (osobowość, typy psychiczne, frustracje) i podana w niezbyt popularnej formie. Ale wykładowca demonstruje wysoki poziom kultury naukowej, dużą erudycję, swobodnie porusza się na tych obszarach wiedzy. Słuchano z dużym zainteresowaniem, robiono notatki. Nazwisko p. Namowicz wracało często później w rozmowach między słuchaczami, jako przykład dobrego wykładowcy.

Anna W. (bibliotekarka). Zwraca uwagę skupionym wyrazem twarzy. Jest poważna, wyczuwa się wrażliwość i nieśmiałość. Ma się wrażenie, że Ania lepiej czuje się wśród książek niż wśród ludzi. Bardzo obowiązkowa i skrupulatna, przypuszczalnie z lęku przed skarceniem.

Janina J. (bibliotekarka) — na początku wielka niewiadoma. Szczelnie zamknięta, zewnętrznie poprawna, cicha i wyizolowana z zespołu. Lat 20. Można było sądzić, że kryje się za tym banal, pustka, brak zainteresowania czymkolwiek, egotyzm jeszcze trochę infantylny, ale tak denerwujący i niesympatyczny u dziewcząt w tym wieku. A może to tylko nieporadność i nieśmiałość granicząca z jakimś urazem? Janina zaskakuje. Napisała najlepszą pracę na temat: „Moje miasto jako środowisko społeczne” — przy dość wysokim poziomie pracy na ten temat pozostałych uczestników kursu. Praca jej zawiera wiele rzetelnego wysiłku myślowego. Napisała inteligentnie, z intuicją. Teraz dostrzegamy, że w rozmowie jest bystra i ścisła. Posiada swój własny świat zainteresowań i dojrzałe spojrzenie na życie. Razi ją pewna hałaśliwość kursowego zespołu. Jest z usposobienia zrównoważona i spokojna.

Kol. B. jest najczynniejszym towarzyszem uczestnikiem kursu. Z wykształcenia mechanik czy technik, od kilku lat pracuje w PDK. Ogólnie tutaj lubiany za werwę, humor i pomysły w organizowaniu wolnego czasu. Otrząskany z arkanami pracy PDK w jej dotychczasowym profilu, z przewagą

(Dokończenie na str. 11)

tora „Zazdrości i Medycyny”. Prorokowanie o literackim kształcie owej przyszłości Choromańskiego byłoby sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem — dawanie pisarzowi o takim, jak twórcy „Opowiadań dwuznacznych” talencie i dorobku jakichkolwiek rad w tym względzie wykracza zdecydowanie poza kompetencje, obcyżaje i dobre wychowanie, obowiązujące krytyka. Wolno mi tylko spodziewać się, że znajdzie niezadługo na biurku nową książkę Choromańskiego, równą literackiej, niewątpliwie wartości „Zazdrości i Medycyny” i „Szpitala Czerwonego Krzyża”, które tak często i chętnie wyciągam z biblioteczek półki...



W dn. 25—26 bm. odbędzie się w Gdańsku doroczny Zjazd Związku Literatów Polskich. Lubelskie środowisko literackie będą reprezentować: Konrad Bielski, prezes Oddziału, Wacław Gralewski i Kazimierz Andrzej Jaworski, delegaci, oraz Maria Bechzyk-Rudnicka, redaktor naczelny „Kamenu”.

Dotychczasową twórczość Michała Choromańskiego przelamują dziwne, nieledwie tragiczne, lata 1939 — 45, spędzone przez pisarza poza granicami kraju. Dwudziestolecie określiło świetnie i obliczając start prozatorski Choromańskiego: po „Białych braciach” i „Opowiadaniach dwuznacznych” nastąpiła odznaczona przez Polską Akademię Literatury „Zazdrość i medycyna”, po niej publikowane w czasopiśmie nowela oraz drukowany w odcinkach (urwanych właśnie przez wojnę) „Szpital Czerwonego Krzyża”. Lata wojny dorzuciły do tego imponującego początku zaskakująco niewiele: nie tyle utwory, ile szkice dramatyczne, zebrane później w tomie „Cztery sztuki bez znaczenia” i na pół szkie na pół konspekt powieści „Prolegomena do wszech nauk hermetycznych”. Naomiast czasy powojenne — i te na emigracji, i te w kraju — to dla Choromańskiego (trwający do dziś) okres wznowienia dzieł opublikowanych i wydawania utworów nie publikowanych dotąd raczej książkowo niż drukiem, przy dziwnej u pisarza o takim temperamencie twórczym skłonności do traktowania własnego dorobku jako swoistego układu zamkniętego, do którego nie już dodać, ani od którego nie ująć nie można.

Pewne uzasadnienie dla tego „historyczno-literackiego” stanowiska wobec własnej twórczości dają Choromańskiemu niewątpliwie kształtujący jego prozę wciąż ci sami patroni ideowi i artystyczni. Już krytycy międzywojenni stwierdzili niemal jednogłośnie, że po dość odstających od ogólnego charakteru jego twórczości „Białych braciach” autor „Zazdrości i medycyny” znalazł się pod przemożnym (i trwającym właściwie do ostatniej jego książki) wpływem psychoanalitycznych gwiazd nie tylko polskiego dwudziestolecia: Freuda, Adlera, Weiningera. Jeśli jednak inni tworzący pod ich znakiem pisarze korzystali głównie z zawartych w filozoficznej biblii dwudziestolecia, „Wstąpienie do psychoanalizy”, informacji i interpretacji poszczególnych objawów ludzkiego życia psychicznego — Choromański przejął od odkrywców zapelnionej kompleksami podświadomości ich punkt widzenia i objaśniania człowieka w ogóle i zastosował wspierającą się na tym generalnym i właściwie jedynym założeniu metodę tworzącą konsekwentnie we wszystkich książkach i do wszystkich bohaterów. Nie bez przyczyn przecież najlepsze utwory Choromańskiego, za jakie uważam „Zazdrość i medycynę” i „Szpital Czerwonego Krzyża”, rozgrywiają się w ulubionej przez psychoanalityków pracowni badawczej: w szpitalu, w gabinecie lekarskim, na sali operacyjnej. Nie bez przyczyny najbliżsi intelektowi i wyobraźni autora „Opowiadań dwuznacznych” bohaterzy, których czyni, a nawet poglądy, kształtują materię fabularną książek Choromańskiego, przybrani są zazwyczaj w lekarski kitel lub przynajmniej zachowują właściwy dla wyznawców Eskulapa obyczaj osądzania ludzi wedle ich — prawdziwych bądź domniemyanych — anomalii, niedorozwojów i patologicznych skłonności.

Ten sposób oglądania świata wewnątrz, a także na zewnątrz człowieka, wywiera niewątpliwie wpływ na specyficzną dla Choromańskiego konstrukcję obrazu fabularnego, wahającą się we wszystkich jego książkach między psychologicznym realizmem a niemal

OBMACUJĄC NERWY

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

że fantastyczna, nieraz w pół groteskowa, niezwykłością. To dziwne zmieszanie kategorii oglądu i kanonów osądów świata dobrze można prześledzić — poza zużytą i nadużyta dla tego celu przez krytyków „Zazdrością i medycyną” — na „Szpitalu Czerwonego Krzyża”, spokrewnionym zresztą w swym koncepcie twórczym z „Czarodziejską górą” Tomasza Manna. Szpitalne tło, wcielające się na ogół w lekarzy, personel pomocniczy oraz pacjentów postaci, zogniskowane wokół fizjologicznej i medycznej pojętych procesów życia i śmierci wątki fabularne — wszystkie te, łącznie z realiami, elementy utworu mają na sobie piętno autentyzmu, biorą swój początek bodaj z autopsji i z nie tyle artystycznego, ile ludzkiego przeżycia i doświadczenia. Jednakże nie jest to autentyczny reportaż czy „normalnej” realistycznej prozy: już od początku „Szpitala” Choromański nie tylko — wzorem Tomasza Manna — zrywa kontakty tła i większej części bohaterów powieści z otoczeniem i życiem pozaszpitalnym, ale ogląda wydzielone w ten sposób ludzkie skupisko według praw i zasad dwóch porządków i dwóch światów — zimnego kraju faktów i dusznego, rozmarzonego krajoobrazu chorobliwego majaku. I przez te dwa wizjery w rzeczywistość przecieka każda proza Choromańskiego, nawet, ciężką siłą gatunku ku realiom i realizmowi, dramatyczna narracja „Czterech sztuk bez znaczenia”. A wizjery te przygotował dla Choromańskiego właśnie badacz prawdziwych odruchów i anormalnych drgnień czwoliczych nerwów: Zygmunta Freud i jego uczniowie...

Stwierdzenie powyższe jest z pozoru sprzeczne z dość powszechnym zachwytem nad racjonalistyczną klarownością i misternością konstrukcji „Zazdrości i medycyny”, a także „Opowiadań dwuznacznych”. Tylko jednak z pozoru: jeśli się bowiem rozlepi kunsztownie spojony tam ze sobą ziemską fizjologię realiów z mieniącą się wszystkimi odcieniami fantastyki i groteski ich otoczką emocjonalną, jeśli się zważy anonimowość: geograficzną i krajoobrazową tła, społeczną i obyczajową bohaterów, czasową i historyczną wątków fabularnych (wszystkie te elementy składają się bowiem nie tyle na wizję, ile na egzemplifikację literacką dość abstrakcyjnie pojmowanych kształtów zazdrości i problemów medycyny) — wypada jedynie stwierdzić, że w najświetlejszej ze swolch powieści oraz w najlepszych z opublikowanych opowiadań Choromański najbardziej konsekwentnie i zwięźle okazał swoją, naszkicowaną przeze mnie wyżej „psychoanalityczną” metodę twórczą. I z tych samych powodów wypada uznać utwory napisane przed i po tym swoistym apogeum za bardziej lub mniej wykończone, opracowane sprawozdania z laboratorium pisarza, uparcie próbującego, lecz nie doskonałego narzędzi znalezionych i używanych w latach swojej młodości.

Czy ów upór nie grozi warsztatowi i wyobraźni Choromańskiego zesztynieniem i lamliwością manieri? Bardziej chyba artystycznym epigonstwem i schematyczną autoimitacją. Przekonują o tym napisane przez Choromańskiego po roku 1939 „Cztery sztuki bez

znaczenia” i „Prolegomena do wszech nauk hermetycznych”. Obie te książki prezentują gatunki twórczości, w których Choromański nie czuje się dobrze i które siłą niejako anektuje dla swojej metody i stylu literackiego. „Cztery sztuki bez znaczenia” dzielą w większości zgromadzonych w nich szkiców dramatycznych razem ze „Zmową nieobcanych” Marii Kuncewiczowej błąd przedstawiania okupacji w Polsce przy braku autentycznych, autobiograficznych doświadczeń w tym względzie — z perspektywy emigracji i właściwych jej zacnych w intencji, ale sztucznych i koturnowych w realizacji artystycznej wyobrażeń i sugestii emocjonalnych. Ofiarą innego rodzaju wtórności padają „Prolegomena...”: Choromański próbuje w nich spojrzeć właśnie na świat emigracji i cudzoziemczyzny przez groteskowe okulary Gombrowicza, wzmacniając jednak ich siłę znów psychoanalitycznymi kompleksami i obsesjami, rozmazującymi ostrość satyrycznej ironii w na pół egzotyczną, na pół fantastyczną mgiełkę. To, obce dotąd autorowi „Zazdrości i medycyny”, wspieranie się już nie na patronach ideowych, ale na wzorach literackich, wiele mówi o stopniu metody twórczej Choromańskiego.

Skutki coraz mniejszej efektywności owej metody demonstruje plastycznie tkanka fabularna „Prolegomenów...”, „Czterech sztuk bez znaczenia”, a także znacznej części opowiadań ze zbioru „Kobieta i mężczyzna”. A zwłaszcza ten rodzaj tkanki, z której Choromański formuje wizerunki i biografie biopsychiczne swolch bohaterów: okazuje się, że bodźce i odruchy nerwowe, mimo niewątpliwie różnorodności i bogactwa, nie wystarczają dla skonstruowania losu człowieka w pełni życiowego (czyli: psychicznego, społecznego, obyczajowego, filozoficznego) autentyzmu i prawdy. Właśnie dlatego fabuła ostatnich utworów Choromańskiego jest tak nerwowo poszarpana, postrzępiona, niewykonalna artystycznie, że autor „Kobiety i mężczyzny” nie potrafi albo nie chce wyjść swoją narracją poza — chwilami zgola surrealistyczny — zapis informacji przekazywanych jego bohaterom przez czuły zapewne i wrażliwy system nerwowy. Zapis taki spełnia u innych pisarzy zazwyczaj funkcję „materii pierwszej”, którą artysta przepuszcza przez filtr filozoficznej refleksji i przymat ideowego uogólnienia, modeluje doświadczeniem życiowym, osadza na strukturze „wielkiej metafory”. Otóż Choromański nie dokonuje żadnego z tych, bądź innych zabiegów. Zgromadziwszy część potrzebnego do powieści opowiadania czy dramatu materiału, pozostawia go w amorficznym stanie literackiego zaczynu, a po pewnym czasie odrzuca go — zmęczony, zniechęcony? — czytelnikowi i krytykowi na półki księgarskie. I w tym również jest podobny do niejednego ze współczesnych, zwłaszcza amerykańskich, psychoanalityków...

Wydaje się — sądząc z podobnych przypadków, zarejestrowanych w kartotekach historii literatury — że opisane powyżej objawy wskazują wyraźnie na głęboką czułość w twórczości Michała Choromańskiego, oddzielającą jego dotychczasowy dorobek literacki i dotąd stosowane metody artystyczne od tego, co powstanie pod piórem au-

W STRONĘ MŁODYCH

KOLUMNA AUTONOMICZNA

U kresu naszego czasu

KRZYSZTOF MARIA
DMITRUK

DOKTOR FAUSTUS

„Ich: So wollt Ihr mir Zeit verkaufen? Er: Zeit? Bloss so Zeit? Nein, mein Guter, das ist keine Teufelsware. Dafür verdienten wir nicht den Preis, dass das Ende uns gehöre“.

Thomas Mann „Doktor Faustus“

Rozwój sztuki jest właściwie procesem niszczenia tego, z czego wyszła. Polega na ciągłym rozbijaniu rzeczy, znaczeń (które wcale nie muszą być tak bardzo skostniałe i umarłe, biorąc pod uwagę obiektywność czasu). Akt tworzenia jest wyrazem buntu, niekiedy nawet prometeizmu. Buntu, który zwykle kończy się przegrana. Dążenie do stworzenia dzieła wielkiego, ponadludzkiego i ponadczasowego oddala artystę i od ludzi, i od siebie. Stąd problem samotności w sztuce, która w naszych czasach wynika też z umieszczenia człowieka w przestrzeni niewyraźnej, albo określonej „za pomocą liczb, opatrzonej niczym kometa ogniem dwóch tuzinów zer i w dodatku udających, że mają jeszcze coś wspólnego z wymiernością i rozsądkiem“.

Jest to książka *) o samotności, a więc książka o naszych czasach. Leverkühn, człowiek o „specyficznym poczuciu życia“, które przybiera kierkegaardowską formę „demonizmu istnienia“, stopniowo traci swoją ludzką postać, pozwała, aby wypełniała go muzyka i ciekawość.

Wychowany był w porządku o piętnie sakralnym, które opanowało wszelkie dziedziny życia. Nawet młodość jest tu metafizycznym, niepowtarzalnym darem. I śmierć. I istnienie w „dialektycznej jedności dobra i zła“, gdzie grzech, zbrodnia i szaleństwo staje się problemem względny i zgola nieważny. Otrzymało to formę niemal aforyzmu: „Der Künstler ist der Bruder des Verbrechers und des Verrückten“. Nawet pocziwy Serenus Zeitblom musi

przynależą, że granice obłądzenia i szaleństwa są niesprecyzowane. Tak więc, skoro „absurdalne narzucenie porządku“ w tej potędze niedojrzałości i młodości przestaje mieć sens, rozpoczyna się wyzwalanie sił duchowych, wytworzonych w sobie zresztą niebacznie. Przekroczenie czegoś, co prosto nazwać można higieną psychiczną. Rozpoczyna się mistyczna walka człowieka z czasem, a tworzywem, które jest tak samo obce i twarde, jak na początku. Walka rozpoczyna się parodią, parodią tych wartości, które są podstawą kultury i sztuki. Przychodzi to o tyle łatwo, że uważa się je za zjawisko tymczasowe. Potem (porządek zresztą nie ma znaczenia zasadniczego — i tak jest ten sam koniec) organizuje się utwór w myśl różnych praw, stwarzanych zresztą przez siebie, w których zbyt często powtarza się słowo — anty —. A więc magia liczb i figur. A więc ornament, który ma tylko takie znaczenie, że się nigdy w przeszłości nie powtórzył.

I tu właściwie kończy się sens sztuki, sens tworzenia, a dla artysty — sens życia. Istnieje jednak wyjście ostateczne polegające na rozbiciu tego, co doprowadzone zostało do punktu wyjścia, do okresu barbarzyństwa, do epoki kultu i prymitywizmu. To, co powstało w wyniku zniszczenia, można przecież też zniszczyć. Przypadek chciał, że połączył to się ze zmierzchem naszego czasu. Sztucznie podtrzymywana i rozpaczliwie broniona kultura będzie musiała upaść, co więcej upadek ten jest właściwie faktem. I tylko za trudno jest nam do tego się przyznać. Jesteśmy przecież zagubieni w sobie, oszobotkami czasem, którego nie rozumiemy. Za trudno nam wyciągnąć konsekwencje z odkryć fizyki i pogodzić się z nową rolą człowieka. I to może być usprawiedliwieniem.

Cóż jednak pozostaje? Rola Serenus Zeitbloma. Forma zdziwienia i przerażenia. Obserwowanie, w jaki sposób To się stanie. Aż któregoś dnia „szkiełko“ i pióro wypadnie z rąk. Ale tego już Mann nie powiedział.

*) Tomasz Mann Doktor Faustus. Przekł. M. Kurecka i Witold Włpasa. Czytelnik Warszawa 1960.

Tomik Andrzeja Tchórzewskiego stanowi kontynuację leśmianowskich poszukiwań światów autonomicznych w obrębie naszej rzeczywistości („wnętrze kwiatu istnieje obok“). Potwierdzeniem tej autonomii nie są dla Tchórzewskiego kontrasty, ale analogie, co najlepiej ilustruje wiersz „Topolec“, a raczej następujący jego fragment:

nie wiedział, że noc wszystka gwiazdami obłana
że wystarczy utonąć pod
najbliższym krzewem
a te same są brzegi
od piasku pękate
długie zbrocza fioleto
i muzyczne cerkwi

Nie przypadkowo pojawia się w poezji Tchórzewskiego tak często motyw cienia:

świat
znad topoli zakurzonej
jest daleki
hen — cień
lakną cienia

Ten właśnie element leśmianowskiej poetyki zdaje się potwierdzać przypuszczenie o pielgrzymce poety do światów, które istnieją obok, co prawda na zasadach stanowiących różnicę niż światy poezji Ireneusza Ireduńskiego. Tchórzewski bowiem nie uogólnia na sposób Ireduńskiego: „Wszystko jest obok“. W poezji Tchórzewskiego istnieje bezpośrednia łączność między poetą a wnętrzem kwiatu, to samo dotyczy również wierszy o pejzażu. Świadoma postawa kreacyjna zawsze towarzyszy poecie we wszystkich jego poczynaniach, nigdy nie opuszcza go przekonanie o słuszności tej postawy:

postanawiam
wielkie mórz gaśnięcie
po zewnętrznej stronie wiatru —
kwiatu

jakby podróż
po okładzinach czasu
i wieże zasobne
w dumę wznoszenia się
ulicę rozkruszoną
na moją pamięć
bo wszystko może przetrwać
(s. 78)

Na gruncie formalnym stara się Tchórzewski sprowadzić sprawę poezji do przestrzeni „między jednym a drugim słowem“ (wiersz „Poeci“), co stanowi realizację wcześniejszej zapowiedzi o „dotarciu do formy poprzez jej zaprzeczenie“. W tym założeniu należy szukać przyczyny osłabnięć i potknięć młodego poety, tu także tkwi źródło obsesji „Nieustanności Wielkiego Po-

ŚWIAT postanowiony

WACŁAW TKACZUK

czątku — formalnego odpowiednika treściowego postanawiania rzeczywistości poetyckiej.

Bardzo często można odnotować na marginesie debiutu Tchórzewskiego powiązania z poetyką Czechowicza, którego indywidualność twórcza patroluje tej poezji tematycznie i weryfikacyjnie silniej niż Przybóś czy Różewicz. Związek młodego poety z klasycznym polskiej Awangardy ograniczają się do pewnych powtórzeń ogólnych („Otwieram okno a później poemat“, „Rzut młota“), a wyraźne ślady Różewicza można odnaleźć jedynie w wierszu otwierającym tomik — „Palestyna 1948“. Najmniej szczęśliwym patronem dla poezji Andrzeja Tchórzewskiego okazał się K. I. Gałczyński (por. „Raj wszystkich świętych“ i in.). Jednakże grawitacja autora „Wnętrza kwiatu“ w kierunku poezji anglosaskiej, o czym świadczą nie tylko przekłady z Ezy Pounda, pozwała nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do nielicznych elementów kabaretowo-groteskowych, choć budzi z kolei sama uzasadniony już chyba doświadczeniem niepokój.

Pewne niebezpieczeństwo stanowi dla poety skłonność do popisywania się erudycją, jak również swoista nonszalancja w operowaniu elementami wiedzy o malarstwie. Tenże sam czynnik zadecydował prawdopodobnie o tym, że w przekładach wierszy Ezy Pounda, który dość rygorystycznie stosuje znaki interpunkcyjne, właśnie interpunkcja została zupełnie wyrównana; a także układ graficzny przekładów różni się zasadniczo od oryginału (prawdziwość powyższych zarzutów potwierdza konfrontacja z jakimkolwiek wyborem wierszy Ezy Pounda w edycji powojennej).

Debiut Andrzeja Tchórzewskiego wnosi niewątpliwie nowe wartości do naszej młodej poezji i wyznacza mu samodzielne już miejsce wśród plejady ostatnich debiutów ze względu na dojrzałość artystyczną, którą można określić, idąc zresztą za samym Tchórzewskim, słowami Thomasa S. Eliota: „Rozróżniam wysłańców...“

A. Tchórzewski, Wnętrze kwiatu. Warszawa 1960, Iskry, s. 80.

Śledztwo

JERZY MATACZYŃSKI

Może ktoś przyjdzie, może przyjdzie ich wielu, wtargną z rechetem, tutaj, gdzie dotychczas istniałem tylko sam, usiadą na moim łóżku, z zadowoleniem zacierając dłonie i pokazując mi swoje wrokiem, palcami. Może wkroczą w milczeniu, przenikną przez ścianę jak fluide, zmaterializują się i będą ścisnąć mi rękę, gratulując: dobrze, że pan się zdecydował nareszcie, szkoda tylko tego czasu, który już minął. Lecz niech się pan nie martwi, pomożemy go panu odzyskać.

Sądzę, że najprawdopodobniej nie przyjdzie nikt. Drzwi uchyla się same, korytarz przywita mnie długim purpurowym chodnikiem, pierwszy krok postawię ostrożnie, następne będą już szybkie, pewne, niemal bieg. Schody. Jeszcze jedne schody. Korytarz. Chodnik, czerwone chodniki. Ulica... Nie, nie zmuszą mnie do tego słowa. Jeżeli je wypowiem, uczynię to przeciwko sobie, stanę się jednym nich, uzależnią mnie od siebie wyrokiem, który zdecydowanie się milcząc. Świadomość ukarania nie da mi spokoju. Cóż będzie znaczyła dla mnie wolność, jeżeli strawię ją na odnalezieniu człowieka, który mnie zasądził, na staranie o amnestię, o uniewinnienie. I jak długo to potrwa? Czy wystarczy mi czasu? Nie wiem przecież, ile mam lat.

Ta nieświadomość czasu to też ich wymysł. Wydaje im się, jakoby pojęcie upływu lat ułatwiało mi przetrwanie. Robią wszystko, ażeby mi się przynależało. Wszystko dla jednego dźwięku: trzech głosek, jednej sylaby. — Czy czegoś ci nie potrzeba — dobiega z megafonu głos, brzmiały jak gdyby ten, do którego należy, poprawił w tej chwili krawat.

Na usta cisnie się słowo: nie. Ale i tego nie wolno mi wypowiedzieć, na

leży zacisnąć wargi, skupić myśli i wzrok na faktach kraty i zacząć nienawidzić, sączyć w siebie nienawiść kropla po kropli, zsumować ją ilością prętów w oknie i milczeć, za wszelką cenę milczeć.

Wyraz który pojawiłby się w celi, nawet zaprzeczenie, zdemaskowałoby człowieka, przekonałby ich o moim zaangażowaniu w sprawę wyroku, świadczyłoby o moim uporze, zwykłym uporze, a nie o niewinności.

Pomyśleliby — No, facet się zastanawia, jego odmienność już się zarysowała, wystarczy zapytać jeszcze kilka razy a pęknie. Sam zdaję sobie sprawę, że od słowa „nie“, „tak“ jeden krok, zwrot myśli, przejęcie. Dlatego muszę trzymać ich w niepewności, podobnie jak oni mnie, zacisnąć usta, pospacerować w stronę okna, obojętnie wyjrzeć, może pogadać z wroblem.

A wróbel jest dziwny, odkąd pamiętam, siedzi na zeschniętym drzewie, wbitym w betonowy plac jakieś pięć metrów od muru, przeskakuje leniwie z gałęzi na gałąź, pozbawiony ruchliwości swoich współtatków, bez żadnego dźwięku, jak widmo. Kiwam do niego, gwizdę, aby wydobyć z niego choć jeden ulotny świergot lub niewielki ruch skrzydeł. Nic. Ślepi na mnie, nie dając się sprowokować. Kiedy mu się znudzę, odwraca lepek i skacze na najwyższy konar, siedzi apatycznie, dotykając piórkami stalowej siatki. Siatka więzi ptaka i uczestniczy w ujednoliceniu czasu. Chodzi o to, by żaden z liści nie spadł na cement oznaczając kolejną jesień. A zieleń, wiem o tym, rozwinęła się wokół gmachu, zaraz za wysokim murem, nadzwyczaj bujnie, podczas szczególnie wietrznych dni słyszę, jak szumi, i wtedy jestem najbliższy zalamania — zatykam uszy kciukami i odchodzę do drzwi.

Tam czyhają lustra, chwytają mnie na jedno nieuważne spojrzenie i zatrzymują w miejscu. Odwracam głowę — lustro, przede mną — lustro. Ja, a właściwie nie ja, lecz kruchy cień, w którego oczach czają się

resztki wysublimowanych pragnień, jestem przed sobą i za, jednocześnie tam nie będąc i jeśli mogę zaufać błyszczącej powierzchni, nie wiadomo, czy w ogóle istnieję jako materia, czy jako własny cień, swój portret. Chcę uciec do wrobla, wtedy zaczyna działać lęk — lustro trzyma mnie w całości, a przypuszczenie, że mogę za chwilę rozwiać się jak opar, że zniknę, gdy mnie oświetlą z każdej strony, paraliżuje mnie. Trwam więc przed lustrem, licząc siebie, mnożąc siebie i dzieląc, łowiąc swe myśli, decyzje, to co kryje się w oczach, co nawet nie jest cieniem, tylko odcieniem i co uchwyć muszę, bez czego zgubię się wśród luster, ścian, powtórzeń... powtórzeń... nieskończonych potęg siebie... Ratunek przynosi jarzeniowa lampa: błyska niespodzianie i beczeniowo. Nie ginę, wszystko w porządku teraz najlepiej usiąść w fotelu, założyć nogę na nogę i jedną z nich kołysać miarowo, czyniąc jakby podświadomie, jak gdyby ruch narodził się sam z siebie.

Przekonani będą, że wyobraźnia moja wywędrowała daleko z celi i ich zapytanie napotka tylko ten ruch nogi.

Zaraz się odezwą, patrząc jeszcze w okno, widzę niebo, puste, jedno barwne, a w każdym razie dalekie. Noga kołysze się, huśta w rurze, nad głową, brzękliwe pienie gaz.

WOJCIECH SUŚWIŁO

Noc w listopadzie

Czarnym krzyżem na suffle
Położył się listopad
I śpi

Śni o zmarłym bracie
Październiku
Co się upijał czerwienią i złotem

Placze
Samotny listopad

M A Ł Y P U Z O N i D U Ż Y K L A R N E T

JERZY KSIĘSKI



Mały Antoś z dziewiątej klasy, tak mały, że koledzy podsadzali go, aby mógł usiąść w ławce, popełnił czyn, z którego śmiała się cała szkoła. Ba, nie tylko szkoła, ale i miasteczko. Jeśli macie odrobinę fantazji, to oczywiście nikt nie będzie protestował przeciwko powyższemu sformułowaniu. Szkoła brała się pod boki i ryczała śmiechem wszystkich urwisów i urwipolców, a gdyby się dobrze przysłuchać, to w śmiechu tym odróżnić było można basowe pohukiwania ciała pedagogicznego i dyszkancik profesorki od historii.

Co za żart popełnił mały Antoś z dziewiątej klasy? Mały Antoś, tak mały, że koledzy podsadzali go, aby mógł usiąść w ławce, kupił sobie puzon. Rozumiecie, prawdziwy, najprawdziwszy puzon. Mały Antoś przeczekał spokojnie, aż się wszyscy wyśmiali do syta, i nie zważając na nie godzinami ćwiczył na swoim puzonie. I kiedy tak nie ustawał w graniu, rozpoczęło życzliwiej przyglądać się Antosiowi. Nawet złośliwe dryblasy nie nazywały go już Małym Antosem. Został po prostu „Małym Puzonem”. Puzon był, jak już wiecie, duży, a Antoś mały, więc razem stanowili właśnie Mały Puzon.

Trzeba wam, moi mili, wiedzieć, że podobna historia, a właściwie zupełnie odwrotna, zdarzyła się jakoś niedługo potem. W innej klasie w ostatniej ławce, pod samą ścianą, zasiadywało obrzymie chłopisko o wiatrowatych rękach i ociężałej sylwetce. To był Karol. Karol-Wieża, jak go nazywano. Więc Karol-Wieża również chciał grać w szkolnej orkiestrze, bo zorientował się, dlaczego tak uparcie ćwiczy Mały Puzon.

I niewiele myśląc zapisał się na lekcje gry... na czym? No pomyślcie przez chwilę... No właśnie, na klar-necie. A klar-net to instrument niewielki, cieniutki patyczek, można by powiedzieć. Jakim cudem Karol-Wieża wydobywał z niego tony — nie wiadomo. Strach było patrzeć, kiedy brał tymi swoimi obrzymimi łapskami delikatny instrument.

A ponieważ Karol był duży, a klar-net maleńki, nie trudno było wymyślić nowe przezwisko dla Karola — Duży Klar-net. Nazywanie kogoś klar-netem, na przykład — ty klar-netcie jeden, jest, jak wiadomo, czynnem wysoce obraźliwym. Ale Karol się nie obrażał. Bo po pierwsze to grał na klar-netcie, a po drugie nie wymyślano mu od zwyczajnych klar-netów — był Dużym Klar-netem.

Lysawy profesor muzyki, poczciwy pan Kobiąkowski, złożył w szkole orkiestrę. Miał to być zespół jazzowy. Brakowało wprawdzie trąbki i trębaczka, ale ponieważ nie znaleziono nikogo z odpowiednim talentem i zadaniem, zrezygnowano z tego instrumentu.

Kiedy ze starego budynku gimnazjum dobiegały zgrzytliwe a głośnie dźwięki grających niby to jazzowo uczni, w miasteczku elementy zacofane rozpoczęły szerzyć wokół złą plotkę o tym, że szkołę opanował szatan, a profesor Kobiąkowski ma... tu — i pokazywano palcem na czoło, oczywiście każdy na swoje.

— Nie mogliby to grać jakichś romansów cygańskich, na przykład „Nie popędzaj swych koni, woźnico” — dodawali ludzie starsi i zamykali się w domach, aby w ramach wolnej konkurencji grać wymienione romanse na

bałałkach. Miejscowe dewotki natomiast nie mogły wybaczyć marnowania talentów muzycznych uczni w świeckiej szkole — jakby to było miło, żeby zagraли jakiegoś marsza, byle spokojnego, koło kościoła — wzdychały.

A orkiestra ćwiczyła dalej. Mały Puzon nadymał policzki, aż mu czerwieniły z wysiłku oczy i dął całą parą. Duży Klar-net dla odmiany przy-mykał oczy wydobywając ze swego „patyczka” tony tak miękkie i lagodne, że pod ich wpływem nauczyciele wymazywali uczniom z dzienników złe stopnie, a najwięksi szkolni „chuligani” składali przysięgę, że od-tąd na lekcjach rozmawiać będą tylko szep-tem.

To wszystko działo się dawno, bar-dzo dawno, kiedy ja sam chodziłem jeszcze do szkoły i wysłuchiwałem wymyślań pocziwego profesora Kobiąkowskiego, że to niby mam niemuzyczne ucho, lub, jak mawiał nie-kiedy, „zielone ucho”.

Kiedy byliśmy wszyscy — to znaczy my uczniowie — przed maturą, zawieszono próby muzyki jazzowej orkiestry. Uczyć się trzeba było różnych tam chemii, matematyk i francuskiego. Jeszcze wcześniej składaliśmy podania na wyższe studia. I tu bomba wybuchła. Okazało się bowiem, że nie-rozłączni przyjaciele Mały Puzon i Du-ży Klar-net wybrali sobie zupełnie róż-ne kierunki studiów. Mały Puzon chciał zostać dziennikarzem, a Duży Klar-net architektem. Bomba, jak już powiedziałem, wybuchła, bo najpierw oni sami, a potem i my wszyscy zgod-nie orzekliśmy, że ci dwaj winni stu-diuować razem. No bo przecież najważ-

niejszą rzeczą było to, żeby razem dalej grali.

Dwa miesiace trwały prywatne i pu-bliczne dyskusje na temat, czy obaj mają studiować dziennikarstwo, czy architekturę. W sporach brało udział całe grono pedagogiczne, koledzy, rod-zice i po trosze wszyscy mieszkańcy miasteczka uważali za stosowne zająć w tej sprawie swoje stanowisko. W końcu padła najrozsądniejsza propo-zycja rozstrzygnięcia sporu przez po-jedynkę. Tylko pojedynek mógł roz-wikłać sytuację. Oczywiście pojedynek muzyczny. Zgodzono się na to i usta-lono regulamin. A więc Mały Puzon i Duży Klar-net rozpoczną w niedzielę o dziewiątej godzinie grę na wytrzy-małość. Kto pierwszy odejmie od ust instrument ten przegra.

Pojedynek odbywał się w szkolnej auli pod wysokim protektoratem sa-mego pana dyrektora. O określonej godzinie po wstępnej mowie wyjaśnia-jącej zebranych gościom, o co aktual-nie chodzi, zabrzmiały równocześnie dźwięki klar-netu i puzonu.

Mały Puzon nie był taki głupi, jak by się wydawało. Najwyraźniej osz-czydzał siły, dął ledwo-ledwo, długimi wolnymi glissandami i tylko zerknął na konkurenta, a Duży Klar-net uśmie-chał się dobitnie, po staremu przy-mykał oczy i grał słodziutko, kołysząc serca zebranych gości. Po godzinie ju-rorzy i publiczność zaczęła okazywać niepokój. Długo oni tak mogą grać? — zastanawiano się. A kto ich wie, może i cały dzień... Ktoś tam słyszał, że podobno tacy muzycy potrafia grać i dwie doby. Auditorium było lekko przerażone, a oni grali.

Tak minęło południe i widać było, że impreza wkrótce się skończy. Spor-towcy zakładali się o tabliczki czeko-lady, obydwa mieli swoich kibiców. Atmosfera była coraz bardziej gorącz-kowa. Coraz częściej słychać było o-krzyki mające pokrzepić na duszy i ciele zmordowanych graczy. I właści-wie w ogólnym zamieszaniu nie bar-dzo było wiadomo, jak się to stało, ale w pewnej chwili słychać było już tylko tony klar-netu. Mały Puzon prze-stał grać. Oddychał ciężko i pocierał dłonią nabrzmiałe wargi. Przegrałem — powiedział.

Potem, to znaczy jesienią, Mały Pu-zon rozpoczął studia razem z przyja-cielem Klar-netem na Wydziale Archi-tektury. Dzisiaj są już poważnymi pa-nami na stanowisku i chociaż nie gra-ją ani w klubie architekta, ani na żadnej budowie, to jednak stare przy-zwyczajenia im pozostały. Wieczorami zamykają się w domu i grają dla sie-bie, a czasami dla gości różne takie niestworzone rzeczy.

Nieraz już zastanawiano się, dła-czego tych dwóch architektów paradyje zawsze razem? To tak dla kontrastu — wyjaśniają cierpliwie. I mrużą przy tym filuternie oko. Dwaj starsi panowie: Mały Puzon i Duży Klar-net.

FRANCISZEK
FENIKOWSKI

O, zielone wczasy

O, zielone wczasy!
Jeziro się lustrzy.
Błękitnieją lasy
Jagiellowej puszczy.
Klasztor — dwumasztowiec
kotwiczy wśród zatok...
O, szumne sitowiem,
nadwigrzańskie lato.

Zegnać się niełatwo,
choć odjeżdżać pora.
Słońce rudą tratwą
sunie w mgłę jeziora.
Bąk zabuczał w trzcini.
Wiatr wśród sosen wzdycha.
Szepee o dziewczynie,
księżycu i mnichach...

O, przedświtów hymny
z porfiru i złota,
zmierzchy w ogniach dymnych,
w jednych czasach
sny w gwiezdnych namiotach
jak mgieł nocne igry,
co z miesiącem tańczą...
— Do widzenia, Wigry.
Do widzenia, Hańczo.

ANDRZEJ
TCHÓRZEWSKI

Czyste powietrze jakby
niewidzialny śnieg
przyklepił się do ścian powietrza
i wynikła nowa bryła: Dościan

Oddech umarłych
oddech motyla
który usiadł na śmierci

Czysta chwila powstała
i już inne chwile zazdrosne
w nią wchodzą

nie, na powrót rośnięcie, na powrót
preklinanie: — oni są gady, a słowa
ich papugi; na powrót wołanie:

— mówię śpiewając, weź mnie
ty nocować
weź mnie ty rozkradnij, proszę
po kościach mnie twóich roześlij
ulubionych

Potem mi jeszcze piszesz o czymś,
używasz tam dużo słów w cudzysło-wiu i bez, i ja już z tego, tak jak Cię szanuję szeroko, nie nie rozumiem, a piszę Ci o tym, żebyś nie myślał, że coś z Twojego listu omijam. Ja teraz jestem w Warszawie, Drogi Mój. Miesz-kam u Igora. Ale przedtem mieszka-łem nad rzeką w takim domu szła-sowskim, który sobie postawiłem z dłu-gich sнопów suchej wikliny, których były całe stopy ułożone już i związa-ne na brzegu, niedaleko poniżej. Zie-mię w środku mojego palacu wiklino-wego wyłożyłem grubo liśmi i trawą, żeby nie ciągnęło od niej. Dookoła powbijalem możliwie grube pale i wy-kopałem rów, też możliwie głęboki, żeby mnie jakieś stado dzików nie strataowało pędzące i w ogóle dla o-chrony. Kosztowało mnie to mnóstwo roboty, bo nie miałem szpadla, tylko toporek, ale potem byłem spokojniej-szy. Bardzo chciałem psa przy boku. Pies by mnie uszczęśliwił niezmiernie. Taki, jaki jest u państwa Bordowicz na przykład, w Rembertowie, u któ-rych ostatnio mieszkałem.

Piszę Ci o tym moim pobycie nad-rzeczynem, żebyś nie myślał, że coś z Twojego listu omijam, kiedy mi pi-szesz na końcu bardzo pięknie: — „Myślę, że rzeczywistość nas uczy naj-lepiej i jakkolwiek nigdy nie odejmię nam pasji wyrażania, to jednak do-starcza owej satysfakcji z piękną nie zawsze mogącego być spełnionym na drodze wysiłku. Piękno, które dla swo-jego istnienia nie wymaga zabiegów, piękno, które jest. Czasem aż zdumiewa to rozumienie naszych potrzeb este-tycznych ze strony najgłupszej galąż-ki czeremchy. Metafora, anafora, elipsa — a tu po prostu pachnie. I umieję tu powiedzieć, że czeremcha pachnie. Potrafisz?”

Twój Edward Stachura

Drogi mój!

ściskam ręce mocno i zapytuję o zdrowie, bo u mnie zdrowotność nie-zrównana i żadnych bólów tajemni-czych, czego i Tobie życzę z całego serca.

Nie pożegnałem się z Tobą podczas mojego ostatniego pobytu dwudniowe-go lubelskiego, ale wierzyłem, że wy-jedźdam na przelot ziemski tylko, nie lot pogrzebowy, i że przecież miłsze jest witanie, niż żeganie, które to dru-gie zawsze onieśmiela mnie dosyć bar-dzo. Zalóżę się, że nie wiesz, gdzie je-stem.

Ale otrzymałem Twój list, Drogi Mój! Przeczytałem go kilka razy. Długi jest i trochę ponury i tak niewiele jest w nim słów dla mnie, a prawie wszyst-ko nie do mnie. Także między słowa-mi nie potrafiłem nic odszukać, żad-nych sfumato, prócz trochę smaków gorzkich piołunowych.

Ty mi piszesz tak: „— Twój język! Twoja niby zachowująca bezpośrednią tkankę doznania antyskładnia... Mod-ne. Butor pisze antypowieści, więc u nas trzeba pójść jeszcze dalej i kombi-nować (za sprawą Gombrowicza) coś w rodzaju antyjęzyka. Pokusa niem-ała, skoro ulegnie jej i Lowel i — zdaje się, kiedyś — Kijowski, nie licząc przy-godnych wolontariuszy „unowocześnia-jących” w ten sposób swoje teksty”. To ja, tak jak Cię mityję szeroko, nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, co chcesz przez to dać mi do zrozumie-

nia, a odnajduję tu tylko trochę tych smaków gorzkich powyższych.

Potem są Twoje pytania do mnie: (Czy sądzisz?). Powiem Ci moje są-dzenia. Będę używał tu Twoich słów, Twojego układu słów, tak jak one wid-nieją w Twoim liście. Postuchaj więc, Attikusie: nie, nie sądzę chyba, że kon-wencja stylistyczna odgrywa decy-dującą rolę filozoficzną; tak, sądzę na pewno i bardzo często, że prawidła gramatyczne gubią adekwatność prze-kazu; nie, nie sądzę chyba, że nowe widzenie świata staje się faktem, kie-dy dokonane są perturbacje w dziedzi-nie przyjętych związków słownych.

Potem zaczynasz mi pisać o poezji: „— Żadna poezja nie zaczęła się od poetyki, a to, co się tak zaczęło, poza poetykę nie wyjdzie”. I ja też tak my-szę, Drogi Mój! Sądzę tak na pewno. Całkowicie tak sądzę. Bo jak to? Naj-pierw ma być kapelusz, a potem gło-wa? Najpierw ma być rękawiczka, a potem ręka? Masz rację, że jak tak, to głowa nie wyjdzie za kapelusz, a ręka za rękawiczkę, a może ona — rę-ka — najwyżej zdjąć kapelusz tylko.

Ale potem mi piszesz: „— Pozwól zresztą, że zaargumentuję na Twój punkt najwrażliwszy, mianowicie na postulat nowości”. Ty się chyba mylisz. Drogi Mój! Czy Ty pamiętasz, że bym ja kiedykolwiek „postulat nowości” uważał za jednego ze swoich bogów? To nie było nigdy dla mnie bóstwo. Ja do tego nigdy nie zanosilem swoich myśli poważnych. To mnie zawsze śmieszyło: „postulat nowości”. Ja my-szę, że nie ma nic nowego. Ja myślę, że wszystko jest kolejne, jak po dniu jest noc, a po gniuciu na powrót urodzajna nawozy, na nich na powrót dojrzewa-

Dwie mile od Lublina

MIROSLAW DERECKI

Wyniki małej ankiety pt. „Słuchaj co to była Rzeczpospolita Babińska”, którą pozwoliłem sobie przeprowadzić wśród moich znajomych, rekrutujących się ze środowiska tzw. „młodych twórców lubelskich”.

1. A. Babin. Taaak... Babin... Rzeczpospolita Babińska. Słyszałem, słyszałem... To chyba gdzieś w XVIII wieku.
2. Nie wyglupiaj się.
3. Tam się zbierała szlachta. To w ogóle była niezwykle interesująca historia...
4. Cholera, nie wiem...
5. Czytam teraz „W stronę Swanna”. Wniosek budujący. Co piąty młody intelektualista lubelski doznał już do Prousta...

Ze czasów sędziego Stanisława Pszonki i jego przyjacielu także sędziego lubelskiego — Piotra Kaszowskiego, wiadano w Lublinie trochę więcej o Rzeczypospolitej Babińskiej i o Babinie w ogóle.

Nie mówiąc już, że był to wiek XVI a nie XVIII. Wtedy właśnie wyżej wspomniani panowie, z racji swych licznych przymiotów określeń przez współczesnych jako „rajska delucja i marcypan”, założyli w siedzibie Pszonków towarzystwo, które przyjęło sobie za dewizę: „ridendo castigare mores”.

Towarzystwo, które wg. Windakiewicza stało się „kasynem średniowiecznej szlachty” i rzuciło „pęki światła na ówczesne stosunki towarzyskie”, grupowało wokół siebie takich ludzi jak Jan Kochanowski i Mikołaj Rej, a znane było nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Między innymi znalazło naśladowców we Francji.

Nie będę się tutaj wdawał w szczegółowy opis historii, celów i założeń Rzeczypospolitej Babińskiej. To nie rozprawa naukowa tylko reportaż.

I dlatego od siebie mogę tylko poradzić moim uczestnikom ankiety wyszukanie odpowiedniego hasła chociażby w Encyklopedii Staropolskiej Glogera. Nie tyle dlatego, żeby nie było mnóstwa innych poważnych komplikacji na ten temat, ile że... — krótko a treściwie z datami i ilustracjami (wysyłki mały, a można zaabysnąć). A i sam Gloger to jednak nazwisko i nie wstyd się nim pochwalić. A poza tym może już wkrótce rozmowy o Babinie będą należały do dobrego tonu.

„O dwie mile od Lublina, na trakcie krakowskim, leżała obszerna wieś Babin”...

Dzisiaj asfaltowa szosa do Krakowa biegnie przez inne miejscowości. Ale choć mile zastąpiono kilometrami, odległość pozostała ta sama. Dwadzieścia parę kilometrów.

Dwie mile od Lublina leży wieś Babin. Zapomniana wieś.

— Już niedaleko do tej Rzeczypospolitej Babińskiej — mówi kierowca. Na moje nieme pytanie odpowiada z uśmiechem: Ja jestem z tych stron.

Nachodzę ludzi

Co myślą „o Krzyżakach”

...p. Romuald Buliński, adiunkt Katedry Nauki o Srodkach Spożywczych Akademii Medycznej: „Film, mimo że różni się od książki Sienkiewicza, podobał mi się. Akcja nie ma dłużyzn, przez cały czas trzyma w napięciu, dobre tempo. Zbyt mało rozbudowane są wątki miłosne. Jagiello zrobiony na wielkiego stratega, za mało jest w nim chytrłości. A w ogóle zły był dobór aktorów. Inaczej wyobraź sobie Jagienkę i Danusię. Natomiast Krzyżacy są świetni. Zupełnie zła jest księżna mazowiecka. W książce jest żywa, rubaszna, trochę „z puszczy”. Na filmie bardzo statyczna, sztywna, jakby pozowała do portretu.

Zdjęcia panoramiczne i kolory — trudno opisać... To jest coś fantastycznego! Jak na pierwszy film polski tego rodzaju — nadzwyczajnie! Myślę natomiast, że ze zbrojami i strojami trochę „przedobrzyli”. Zbroje są zbyt świeże i sztuczne, stroje, wszystkie kostiumy za kolorowe. Może tak chodzili Polacy od święta, chyba nie na codzień. Ale ogólnie biorąc, film na piątkę, z plusem...”

Pan M. M., pracownik administracyjno-gospodarczy Służby Zdrowia:

Tutaj każde dziecko zna te tam historie...

Bloto. Z trudem docieram do budynku Gromadzkiej Rady Narodowej.

— Do dworu blegnie szosa — informuje przewodniczący, Władysław Walczak — my niestety musimy jeszcze urzędować w gumiakach.

Jest już starszym mężczyzną. Tutaj urodził się. Od najmłodszych lat interesuje się historią rodzinnej wsi. Syple datami, nazwiskami. Zwiedził biblioteki lubelskie i warszawskie szukając publikacji na temat Babin. I to chyba w jego głowie zrodził się projekt przekształcenia starego babińskiego dworu na Dom Pracy Twórczej.

Żeby zjeżdżali się literaci „i inni artyści”, żeby jak mówi — „przywrócić dawną sławę Rzeczypospolitej Babińskiej”.

Projekt wart realizacji. Nie tylko ze względu na tradycje miejscowości, ale także z uwagi na piękny, typowo polski krajobraz, zielen, spokój, niewielką odległość od Lublina. Może Warszawa mieć swoje Obory, możemy i my...

Park otaczają sady. Potykamy się o wilgotne jabłka. Wąski pas łąk, rzeczka — i wchodzimy na teren parku.

Mgła. Ścieżki nie ma. Przysypały je suche liście kasztanów. Drogę do dworu wytyczają tylko drzewa alei.

Z cisy wyłania się nagle budynek. Na tle ciemnozielonych świerków, jego jednopiętrowa fasada wydaje się tym bardziej biała.

— Mogłoby tutaj zamieszkać dziecięcy rodzin — odzywa się negle Walczak.

— To było tutaj? — mówię.

— Nie — odpowiada. Dwór Pszonków znajdował się w odległości jakiegoś kilometra. Na Górze Zamkowej. Ten park i dwór mają tylko niewiele ponad sto lat.

Góra Zamkowa. Kamienne siekierki, monety z napisem Joannes Casimirus Rex dotąd wygrzebywane są u jej podnóża. To nastroja i to podnieca. Co za temat. Dać się ponieść fantazji. Można np. tak: „Wyniosły masyw Góry Zamkowej ostro rysował się w niekłej poświęcie księżycu...” albo „Tu węgryz płynął strumieniem, a od huku fortecznych kartanów, wyniosła Góra Zamkowa drżała w posadach... etc”. Rzecz nabiera wtedy odpowiedniego

„Pierwsze wrażenie — film raczej słaby. Jestem rozczarowany. Akcja nie jest powiązana, „posiekana” tak bardzo, że kto nie czytał „Krzyżacy” niewiele z filmu rozumie. Reżyser przedstawił na filmie powyrwane fakty z książki, film jest w pewnym sensie „żywa ilustracja” powieści, a nie dziełem samodzielnym. Zbyt szybko wszystko się dzieje i trochę bez związku. Najgorsza jest postać Danusi. „Krzyżacy” Sienkiewicza pozostawiają o wiele silniejsze wrażenie...”

Ob. Henryka Kaczewska, kasjerka w sklepie CPLA: „Jestem zachwycona. Nie mam żadnych zastrzeżeń. Wszystko mi się podobało... I akcja i aktorzy, i gra, i scenografia! Wszystko...! Zdjęcia cudowne. Nie trzeba czytać powieści, żeby zrozumieć treść filmu. Nie wyobrażałam sobie nawet, że można u nas zrobić taki ciekawy i taki wspaniały film. Specjalną radość sprawił mi widok naszych lubelskich aktorów. Grają świetnie! Chętnie poszłabym po raz drugi do „Koziołka”...”

Ob. Stefan Dyak, pracownik księgi garni Klubu MPiK, student Studium Zaocznego Wydziału Prawa U.W.: „Uważam, że film jest w miarę odbiciem powieści, jeżeli pominięć wstawkę początkową; scenę napaści na Spychów i śmierci matki Danusi. Film jest dobry, zrobiony z dużym zapałem i z dużą kulturą. Osobiście byłem mile rozczarowany. Spodziewałem się, że film Forda będzie słabszy. Świetne sceny batalistyczne. Jeżeli chodzi o grę aktorów: rolę Krzyżaków są o wiele wyraźniejsze, posiadają moim zdaniem, więcej ekspresji niż analogiczne role Polaków. Bardzo dobrze wypadli wszyscy bez wyjątku rycerze zakonnicy: dawny i nowy Wielki Mistrz, Kuno von Lichtenstein, Zygfryd de Löwe.

Niezbyt podobała mi się scena na moście w Spychowie, moment, gdy Ju-

wytrawnego smaczku. Niestety. Podobno dziennikarza powinna cechować nie tylko fantazja Cyrana de Bergerac, ale i ostrożność biblijnego Niewiernego Tomasza. Dlatego przeszedłem ten kilometr: żeby dotknąć.

Deserem historii są legendy... „Góra Zamkowa” okazała się niskim wzgórzkiem, a u jej podnóża znalazłem dwadzieścia groszy. Na próżno szukałem siekierki. Choćby żelaznej.

Przy dworze pożegnałem się z Walczakiem. Szedł na próbę zespołu dramatycznego.

Tutaj zaczyna się inna historia wsi Babin odległej o dwie mile.

W 1915 roku, z inicjatywy mieszkańców, powstał zespół dramatyczny, działający z niewielkimi przerwami do chwili obecnej. Od czterdziestu pięciu lat, działa w nim miejscowy gospodarz Michał Beszta. Niewiele mniej inny gospodarz — Stadnik.

W ubiegłym roku, zespół wystawił Wesele Babińskie, oparte na miejscowych obrzędach weselnych. Zebrali je, napisali scenariusz i wyreżyserowali widokowo właśnie Beszta i Stadnik. Bez żadnej pomocy z zewnątrz.

Od 1912 r. istnieje biblioteka, założona jeszcze przez Macierz Szkolną.

Od 1921 r. działa tutaj Koło Młodzieży Wiejskiej, a obecnie Związek Młodzieży Wiejskiej.

Wreszcie w przyszłym roku rozpoczyna się budowa nowego, murawanego budynku gromadzkiego. Znajdą w nim pomieszczenia: stałe kino, bibliotekę, czytelnia oraz Szkoła Przeprosobienia Rolniczego.

I jeszcze jedno. — Zanim ostatecznie wykrystalizuje się sprawa Domu Pracy Twórczej — powiedział Walczak — niech pan, w moim imieniu i w imieniu całej wsi, zaprosi już teraz lubelskich literatów do nas. Niech przyjeżdżają z odczytami i wieczorami autorskimi. Frekwencja zapewniona.

(Dokończenie na str. 12)

rand spotyka rycerzy wiozących Danusię i przyjazd gońca z „wiciami”. Scena ta stwarza błędną sugestię, że wybuch wojny uwarunkowany był jedynie wybrakami komturów, a nie całokształtem polityki Zakonu. Poza tym zbyt wielki nacisk położony został na akcję, a zbyt mały na podbudowę psychologiczną postaci i na obnażenie zabobornej polityki Krzyżaków. Film jako całość ma więc charakter filmu raczej przygotowawczego, a nie filmu psychologiczno-historycznego. Odniosłem również wrażenie, że scena śmierci Zygfryda, która powinna wstrząsać, ma charakter w pewnym stopniu groteskowy. Wydaje mi się, mimo wszystko, że film będzie się podobał, nie tylko zresztą w Polsce”.

Ob. Stanisław Kraśkiewicz, nauczyciel fizyki w Technikum Budowlanym: „Ogólnie oceniając, film jest interesujący. Podoba się głównie ze względu na treść. Ludziom jednak, którzy powieści Sienkiewicza nie znają (a gdy film trafi za granicę, to taka sytuacja powstanie niewątpliwie), bardzo trudno będzie, sądzę, polapać się w tej płatnianej przerwy nagle i nawiązywanych niustannie wątków. Akcja jest za szybka. Jeżeli film rozpatrywać będziemy pod kątem korzyści dydaktyczno-poznawczych, to musimy stwierdzić, że reprezentuje on bardzo cenne walory. Dokładna, drobiazgowa dokumentacja historyczno-obyczajowa pomaga niewątpliwie owe zamierzone czasy odtworzyć i zaprezentować. Gra aktorów z nielicznymi wyjątkami (i to przeważnie aktorów kreuujących rolę Krzyżaków) — słaba. Zbyszek nie ma nic typowego dla rycerza średniowiecznego, Danusia za stara i za wysoka. Jeżeli chodzi o typy polskiej szlachty, to nawet mimo znajomości Sienkiewicza trudno się zorientować kto jest kto. Na filmie zaważyła dążność realizatorów do zmieszczenia wszystkiego z powieści, stąd konieczność zbyt radykalnych „cięć” montażowych i zagubienie przejrzystości treściowej. Czy nie lepiej byłoby podzielić film na nieco dłuższe, ale dwie serie? Jagiello bardziej przypomina ostatniego niż pierwszego z Jagiellonów. Odnosi się ogólne wrażenie, że film przedstawia ów-

czesną epokę na poziomie intelektualnym nie wykraczającym poza poziom podręcznika historii dla klas licealnych. To zresztą bardzo miłe, takie odświeżenie dawnych, szkolnych wyobrażeń. Starsi jednak nieco inaczej chyba widzą pewne zjawiska historyczne. Tak mi się zdaje...”

Kol. Halina G., uczennica Technikum Handlowego: „Trudno mi powiedzieć. Podobał mi się i nie podobał... Moim koleżankom także. Podobała się sama oprawa: kolory, szeroki ekran, stroje (trochę maskaradowe...), krajobrazy. O treści trudno powiedzieć. Raz akcja tu się toczy, zaraz potem gdzieś indziej. Za bardzo poplątane, za dużo wszystkiego i za szybko jedne sceny za drugimi biegną. Często bardzo trudno zrozumieć, o co na filmie chodzi i co z czego wypływa. Ja zupełnie sobie inaczej wyobrażałam „Krzyżaków” po przeczytaniu książki. Z aktorów najlepiej wypadli Zbyszek i Maćko. Jagienka zupełnie nie taka... Trudno mi coś więcej powiedzieć...”

Książd mgr St. Z.: „Film Forda należy rozpatrywać na trzech przynajmniej płaszczyznach. Na płaszczyźnie formy, na płaszczyźnie wartości i problematyki oraz pod kątem jego stosunku do literackiego pierwowzoru i obiektywnej rzeczywistości historycznej. Najbardziej zamyślną cechą filmu Forda jest zdecydowany przerost formy nad dosyć wątłą warstwą problemowo-treściową. Eliminując pewne akcenty i pewne wartości, siłą rzeczy zrezygnowali twórcy z pełnego i adekwatnego obrazu przedstawianej epoki. Zmieszczo się to przede wszystkim na systemie motywacyjnym i na związku przyczynowo - skutkowym. W rezultacie wpłynęło to z kolei na charakter filmu, jego kompozycję i realizm. Zamiast dzieła o określonych założeniach historyzoficznych otrzymaliśmy film typowo awanturniejszy o przewagę akcji. Zamiast obrazu okresu przełomowej epoki historycznej i jej tragicznego patosu (walka z Zakonem była przecież nie tylko problemem strategicznym czy militarnym, lecz polityczno-moralnym!) otrzymaliśmy barwne widowisko historyczne, rodzaj „Panoramy Raclawickiej”. O powodzeniu filmu zadecydują oczywiście te drógoplanowe elementy wizualno-rozrywkowe. Szkoda, że zrezygnowano w tym wypadku z zaszczytnej rangi świadectwa, poprzestając na skromnym charakterze cząstkowego dokumentu obyczajowo-kostiumologicznego”.

Spotkane przypadkowo na ulicy:

Maria Urban, plastyczka i Wanda L., piosenkarka estradowa: „Bardzo nam się spieszy, Maryna przygotowuje w Warszawie wystawę indywidualną, więc...”. Maria U.: „Bardzo nam się podobał...”. Wanda L.: „...szczerze mówiąc lubelscy aktorzy. Nie do przyjęcia natomiast jest koncepcja postaci Jagielly. Zbyt nowoczesny i zbyt „renesansowy” i to w typie włoskim...”. Maria U.: „...ale pejzaże wspaniałe, cudowne, po mistrzowsku malarskie...! Np. sceny w Bogdanu z przewagą ugrów, inne — na rynku krakowskim, ujęcie wnętrza, wiele jakby wyjętych z żywca z Bruegela...”. Wanda L.: „Tak, scenografia świetna. Jeżeli chodzi jednak o kompozycję, to twórcy moim zdaniem zastosowali tu zbyt daleko posuniętą lapidarność i skrótość. Wiele traci np. scena egzekucji Zbyszka, scena narady na Zamku”. Maria U.: „Sceny rodzajowe są natomiast wspaniałe, bardzo „socyyste”, scena pojedynku Zbyszka z Rotgierem, bardzo dramatyczna...”. Wanda L.: „Ale ich zbroje i w ogóle uzbrojenie zbyt świeże, prosto z pracowni artystycznej tworzyw sztucznych, za mało spastywowane. A Jagienka w scenach końcowych typowo Kossakowska. Brakuje tylko ulana...”. Maria U.: „Tak, to racja. I czy Krzyżacy muszą mówić po polsku?”. Wanda L.: „Nie wiem, dlaczego obóz krzyżacki jest o wiele wyraziściej przedstawiony. Ma jakieś oblicze, jaką własną twarz. Oboz Polaków natomiast zbyt zindywidualizowany i dlatego nie tworzy równorzędnego dla Zakonu, politycznego i dramaturgicznego kontrpartniera. Zbyszek zbyt ocalały i stateczny, zbyt, powie działabym, rozsądny i zrównoważony. Z drugiej strony de Löwe za mało dramatyczny, zbyt szlachetny i dlatego mdły...”. Maria U.: „To są mankamenty drobne, przeważają jednak zalety. Film jest doskonale zrobiony operatorsko. Bardzo dobre zdjęcia masowe. Jednym słowem film typowo polski i dla Polaków”. Wanda L.: „Choć poznać można wyraźny wpływ historycznych filmów radzieckich...”. Maria U.: „A choćby... To co?”.

Wywiady przeprowadził: Z. J.

100 lat!

„Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam!” — ten od czterech lat drugi niemal nasz hymn narodowy, zgodnie z odtwieczoną tradycją postonowany jest w dalszym ciągu na imieninach, urodzinach, weselach czy chrzcinach, słowem przy każdej okazji wymanajacej, również zgodnie z tradycją, zakrapiania uroczystości większą ilością alkoholu. Tej setki lat życzy się zazwyczaj bohaterowi festu, co czasem brzmi nawet niezbyt delikatnie, bo choć nie mieszkamy na Kaukazie, gdzie górale cieszą się wyjątkową długowiecznością, ale niejedną z nas podświadomie rad by i tę setkę przekroczyć. Podobno, kiedy Leonowi XIII w osiemnastowiecznym jego urodzin życzyli: „Cento anni, San tita”, papież miał odpowiedzieć: „Non mettiamo limite alla clemenza divina!” Istotnie, nie stawiajmy granic lasce bożej. Gdyby dziewięćdziesięciokilkuletniemu Solskiemu na jego urodzinach użyczył ktoś sto lat, wypełniłby gruby nietakt. Chyba że tę setkę należy liczyć od chwili wychylenia kielicha.

Ale nie o to mi w tej chwili chodzi. Takt czy nietakt, mniejsza o to. Tylko jak brzmi w uszach ta pijacka piosenka? Podchmieleń towarzystwo, któremu dobrze kurzy się ze łbów, wydziera się uniebogłosy fałszując niemiłosiernie i gwałcąc uszy nawet niewybrednego, ale trzeźwego słuchacza. A gdyby nawet ci sami kompani zainstrowali tę pieśń bez dopingu alkoholowego, prawdopodobnie również nie wypadłaby lepiej.

Zmierzam do tego, że jesteśmy chyba jednym z najbardziej niemuzykalnych narodów na świecie. Stuznie szczytnymi się sukcesami „Mazowsza” czy „Śląska”, ale jak pod tym względem wypada nasza kultura na co dzień? W sobotnie wieczory słyszy się często przeraźliwe głosy pijaków wracających z libacji. To nie jest śpiew, ale istny ryk. Sądzą, że im głośniej krzyczą, tym więcej jest brawury, tym bardziej podkreśla się złudną euforię: cały świat należy do nas. A na trzeźwo? Piosenki naszych żołnierzy maszerujących przez ulice? Dzieci bawiących się w czasie paury na podwórzu szkolnym? Harcerzy?

Tymczasem jakie inaczej jest u naszych sąsiadów. Mają zamilowanie do śpiewu w krwi. Pamiętam przed wojną w małej miejscinie kaluskiej — Wojnilowie idzie wieczorem gromadka parobczaków, którzy z nich podda ton, pierwsze słowa i już płynnie harmonijnie rozlewna pieśń o ryczącym Dnieprze albo żalosa piosenka „Wijut wotry”. Tym nie potrzeba sztucznej podniety. Śpiewają, bo muszą. I to na głosy. A brzmi to dla ucha przyjemnie, choć to nie żaden popis, nie chór wycieczny.

Będąc przed dwunastu laty po raz pierwszy w Pradze, zawędrowałem kiedyś w późny sobotni wieczór, prawie o północ, do jakiejś winiarni. Przy kilku stolikach siedzieli dziesięciu starszych raczej mężczyzn i dwie kobiety — jedni przy piwie, inni przy winie. I cały czas zabawiali się w taki sposób, jaki u nas trudno by było sobie wyobrazić: nie spierali się podnieconymi głosami, nie rozmawiali, nie grali w karty, — tylko śpiewali. Oczywiście nie uniesiono, ale na głosy. Śpiewowi towarzyszyły odpowiednie ruchy i mimika. Oto piosenka „Hercegowina”, pamiętająca zapewne jeszcze cesarsko-

-królewskie czasy. Siedzą przy stolikach i śpiewają, w określonym miejscu wstają, kłaniają się sobie, znowu siadają, przy słowie „cesarzu” salutują przykładając rękę do głowy. Bawią się przy tym doskonale — i oni, i ich słuchacze. I znowu — przecież towarzysztwo to było przygodne, nie składało się z członków jakiegoś chóru, to byli tylko amatorzy, i jak przyjemnie i kulturalnie spędzali sobotni wieczór odpoczywając po tygodniowej pracy. A śpiew ich brzmiał harmonijnie i przyjemnie wpadał w ucho.

Nie mówię już o Włoszech, gdzie zamilowanie do śpiewu jest nagminne, gdzie wieczorami wciąga się słyszy melodyjne piosenki robotników i marynarzy. A co się dzieje w operze! Nie mogłem wyjść ze zdumienia na „Cyrylika sewilskim” w Wenecji, kiedy słuchacze oklaskiwali poszczególne arie i nieraz domagali się ich trzykrotnego nawet powtórzenia. A podczas przerwy w foyer ten i ów nucili sobie lub gwizdał jakiś motyw z opery.

Gdzie szukać przyczyn naszego anty-talentu pod tym względem? Może szkoła za mało zwraca uwagi na umysłowość dzieci i młodzieży? Może za mało jest chórów amatorskich i odpowiednich ludzi, którzy mogliby nimi pokierować? A może to jest już nasze wrodzone upośledzenie?

X. Rovay

Z życia szkół lubelskich

Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego nawiązało współpracę z zakładami przemysłowymi naszego województwa. Trzeba przyznać, że eksperyment ten udał się znakomicie, wzrosło zainteresowanie szkolnictwem ze strony zakładów pracy, które już niejednokrotnie przychodziły szkołom z wydatną pomocą materialną. W październiku zorganizowano naradę przedstawicieli komitetów opiekuńczych, celem podsumowania dotychczasowych wyników. Sprawozdanie z działalności komitetu złożył przewodniczący Rady Szefostw Okręgu Szkolnego Lubelskiego — Czesław Zarębski — dyrektor Okręgu Poczty i Telekomunikacji. Na szczególne wyróżnienie zasługuje Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych, która troskliwie opiekowała się Zasadniczą Szkołą Zawodową Nr 2 w Lublinie. W sumie opieka zakładów pracy nad szkołami przyniosła cennie zdobycze, bogactwa majątek szkół o setki nowych maszyn i narzędzi, wszelkiego rodzaju pomocy naukowych i książek — ogólnej wartości 5 milionów złotych.

„Miasto tobie — ty miastu” — pod tym hasłem młodzież lubelska wzięła udział w porządkowaniu naszego miasta. Uczniowie Zasadniczej Szkoły Przemysłu Mięsnego i Liceum Ogólnokształcącego Nr 1 i pracownicy w Parku Ludowym, uczniowie ze Szkoły Podstawowej Nr 21 w Parku Miejskim i w Parku na Bronowicach. Na Podzamczu, Osiedlu LSM i Alejach Racławickich pra-

cowały szkoły: Technikum Chemiczne, Zasadnicza Szkoła Łączności i Liceum Ogólnokształcące Nr 3.

W Lublinie przy Placu Nauczycielskim nr 1 otwarty został Klub Nauczycielski, w którym będzie można skorzystać z biblioteki, przejrzeć czasopisma, wysłuchać ciekawych prelekcji lub obejrzeć film. Można tam będzie również zagrać w szachy i brydza, a także wypić kawę. Klub otwarty jest codziennie w godzinach od 17 do 19 z wyjątkiem poniedziałków i piątków. Wydaje się, że dwie godziny, jakim dysponuje klub pięć razy w tygodniu, to stanowczo za mało.

W październiku, w związku z Dniami Lublina i Dniem Młodzieży, odbyło się spotkanie wiceministra Oświaty Michała Godlewskiego z nauczycielami z terenu naszego miasta. Na spotkanie to przybył m. in.: sekretarz KW PZPR Edward Machocki, sekretarz KM PZPR Mieczysław Martyn, przewodniczący PMRN Edward Janiak, oraz kurator OSŁ — Edward Zachajkiewicz. W czasie spotkania dużo miejsca poświęcono problemom szkolnictwa zawodowego, a szczególnie szkołom przysposobienia rolniczego w naszym województwie. Następnie odbyła się uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod budowę szkoły — pomnika Tysiąclecia w Lublinie przy ulicy Płazowej. Uroczystego aktu erekcyjnego dokonał wiceminister Godlewski w obecności licznie zgromadzonej młodzieży niemal ze wszystkich szkół naszego miasta. W tym samym dniu odbyło się także otwarcie szkoły Podstawowej Nr 14 im. Tadeusza Kościuszki na Sławinku, w której to imprezie udział wzięli także wiceminister Godlewski.

Zi październik w przyzakładowej Szkole Poligraficznej, która została założona w Lubelskiej Drukarni Prasowej, zainaugurowano pierwszy rok szkolny. Zawód składał się z trzech specjalności: chemigrafii lub introligatora zdobywać w niej będzie 52 uczniów. Nauka trwa 2 lata dla absolwentów szkół średnich, zaś 3 lata dla tych którzy nie posiadają świadectwa dojrzałości. Wszyscy uczniowie, którzy ukończą tę szkołę mają zagwarantowaną pracę w Lubelskiej Drukarni Prasowej, potrzebującej stale wysoko kwalifikowanych fachowców.

W trosce o zapewnienie jak największej liczbie mieszkańców naszego miasta możliwości dokształcania się — Inspektorat Oświaty zorganizuje w najbliższym czasie w Lublinie ok. 80 kursów ogólnokształcących dla blisko 1500 osób oraz 10 kursów z zakresu szkoły podstawowej i 30 kursów nauki języka rosyjskiego.

Mimo że Lubelszczyzna zajmuje pierwsze miejsce w kraju pod względem ilości oddanych do użytku szkół — pomników Tysiąclecia, sytuacja lokalowa jest u nas w dalszym ciągu bardzo trudna. Pod wzglę-

(Dokończenie na str. 12)

„Dom” bez „cegieł”

(Dokończenie ze str. 4)

kiś Karol May, co to idzie jak woda (zresztą właśnie ten owenik May, ten bestseller a priori, wcale się znów takim bestsellerem nie okazał, gusta zmieniają się, jak widać). Nie wolno więc wszczynać zaraz paniki, że ta czy inna książka jeszcze leży i „położyć” ją ostatecznie przez fakt odesłania jej do ceglanych remanentów, gdzie czeka na nią piętno rasowego buba.

Są antykwariaty starych książek i to bardzo pięknie, że są. Ale w całej Warszawie jest bodaj jeden (na Nowym Świecie) antykwariat książek w wieku... balzakowskim, a dla książki wiek taki rozpoczyna się już po dwóch, trzech latach, ba, czasem nawet już po roku! Prawo szybkiej rotacji działa, jak widać, na pełnych obrotach. Antykwariaty „balzakowskie” sprzedają zasadniczo swe książki po cenach nieprzerconionych i — dobrze robią. Zaobserwujcie bowiem klientów książek o zmniejszonej cenie: jest tych chętnych mało, a i ta garstka z największą nieufnością patrzy na cenę: 2 złote zamiast 20 złotych, 1 zł zamiast 10 zł... Cóż to za klasyczna musi być szmira, skoro ją aż tak przeceniono! — myśli z niesmakiem potencjalny kupujący i jego potencjalnie przecenią się natychmiast do zera.

Pewnie, że znajdują się wśród „cegieł” liczne poronione plody z minionej epoki „radosnej twórczości”, różne „Rżyska na ściernisku” i „Zelazogruzobetonostale”. Ale wśród ziaren piasku znajdują się grudki złota, w tym książkowym Klondyke, do którego wyprawiają się czasem poszukiwawcze nieznużeni zwalami „gruzobetonostali”. Oto co ja znalazłem, a P.T. Czytelnikom do wiadomości przekazuję:

Emil Zola: „Germinal” — 5 zł
Leonid Leonow: „Rosyjski Las” — 15 zł
Leonid Leonow: „Droga na Ocean” — 6 zł

M. Piotrowski: „Ogrodnicy” (jedynej chyba produkcyjnej-dzieła sztuki w literaturze polskiej, pasjonująca książka!) — 8 zł

Upton Sinclair: „Grzędawisko” — 2 zł

Upton Sinclair: „Jim Higgins” — 2 zł

Walentin Katajew: „Naprzód czasie!” — 2 zł

Jerzy Broszkiewicz: „Oczekiwanie” — 4 zł

Niekrasow: „Komu się na Rusi dobrze dzieje” — 1 zł (sic!)

Gribojedow: „Mądremu biada” — 50 gr. (sic!)

Apollo Korzeniowski: „Komedia” — 50 gr. (sic!)

Racine: „Andromacha” — 50 gr. (sic!)

Julian Przybóś: „Rzut poziomy” — 50 gr. (sic!)

Jorge Amado: „Ziemia krwi i przemocy” — 50 gr. (sic!)

Jorge Amado: „Drogi głodu” — 50 gr. (sic!)

Anna Seghers: „Towarzysze” — 50 gr. (sic!)

Wilhelm Mach: „Rdza” — 2 zł (też sic!)

i tak dalej, i tak dalej. Lista mogłaby być znacznie dłuższa. Gdzież są tu buble wśród tych cegieł? Pytanie trzeba by postawić zgoda inaczej: gdzie jest reklama książek „starych”, lecz nieprzestarzałych? Pytanie najzupełniej retoryczne, gdyż reklamy tych Kopciuszków książkowych, które godnie są pójść na bal, nie ma, nie było i... i czy nie będzie?

Sprawą jest zresztą szerszej natury, gdyż łączy się w ogóle z nagminnym brakiem informacji o wystawianych na sprzedaż książkach. Gdy dobra pani domu kupuje w wiadomych celach kurę, maca ją uprzednio dokładnie, czy aby nie chuda. A jak tu „macać książkę”, czy aby nie „postna”? Na stoiskach panuje jeszcze pewna tolerancja, ale w księgarniach książki oddzielone są od chętnych barykadą z lady, za którą oczywiście (?) wchodzić nie wolno.

Jeszcze jeden „aspekt” książki balzakowskiej: niechęć do nich ze strony „właściwych czynników” jest taka sama, jak niechęć do wznowienia książki „już” kilkuletnich. Narzekają na tę politykę pisarze, których i tak „karze się” za popularność, skoro płaci się im za każdym następnym wydaniem coraz to mniej, narzekają czytelnicy... można by rzec, że wszyscy narzekają, gdyby nie to, że niektóre wydawnictwa wcale nie narzekają na ten stan rzeczy.

„Cegły” książkowe mają swych krewnych w „ceglach” periodycznych. Regulacja nakładów pism to u nas sprawa równie wstydliwa, jak sprawa regulacji narodzin, stąd też populacja rośnie nieraz wcale-wcale, i zwroty też rosną sobie wcale-wcale. Ale przecież nawet ultrasuperpopularny „Przekrój” też ma zwroty. A wiadomo, zwroty wędrują z powrotem do punktu wyjścia — i leżą. Może akurat nie leży właśnie „Przekrój”, gdyż jest w Warszawie sklep antykwaryczny czasopism na Wiejskiej. Lecz wiele innych pism beznadziejnie leży. Tymczasem można wpaść na pomysł, na jaki swego czasu wpadła „Mozaika”: oprawiła swoje stare egzemplarze w roczniki i w takiej wygodnej, książkowej formie sprzedawała się z powodzeniem. Głowę dają, i to nie cudza, lecz własna, że w powyższy sposób upłynięć by można wiele zleżanych plików czasopism, oczywiście z położeniem krzyżyka na pozycjach zdecydowanie drętowych. Ale czasem i drętowa, jeśli trąci myszką, ma swój smaczek... spróbujcie.

Swego czasu dwaj angielscy bracia, nazwiskiem Foyles, obłali szpetnie egzaminy. Skutek: sprzedali niepotrzebne im już podręczniki. Skutek drugi: zaobserwowali, że sprzedają używanych książek, sprzedaż „balzaków” — to może być duży business. Obecnie ów business jest na pewno bardzo dużym biznesem, skoro bracia Foyles są właścicielami największej księgarni w Anglii!

To chyba nie tak trudno będzie, jeśli istnieje bractwo przyjaciół książek, znaleźć i w naszym „Domu Książki” dwóch podobnych braci...

Janusz Bialecki

NOTATKI Z KURSU

(Dokończenie ze str. 7)

elementów artystyczno-rozrywkowych. Chyba w gruncie rzeczy nie jest przekonany o celowości wykładów z psychologii, socjologii czy pedagogiki. Mam wrażenie, że dziedzińcy te po prostu lekceważy. Co zrobić, żeby skłonić go do zmiany tego stosunku?

Oczekiwano ogólnie zajęć z popularyzacji kultury technicznej. Technika — hasło dnia. Wszędzie mówi się o konieczności wprowadzenia techniki do naszego życia. Hasło zmusza wszystkich do zainteresowania się tą sprawą. Tworzy się niejako nacisk opinii społecznej. Ale też dla pewnej części uczestników kursu (przeważnie męskiej) technika jest już składnikiem ich doświadczenia osobistego. Doświadczenie to nawet kształtuje u nich w sposób wyraźny nowe odruchy, wzory postępowania, rzec by się chciało — nowe ideały. Przywiązywanie dużego znaczenia do tempa, sprawności organizacyjnej, myślenie konkretnie — w tym kierunku rozwija się dzisiaj umysłowość niejednego pracownika K.-O. Do rozwoju tego przyczynia się posiadanie własnego motoru, korzystanie z PDK-owskiego magnetofonu i projektora filmowego.

Wykłady inż. Kozaka z Warszawy są ciekawe i żywo prowadzone. Cybernetyka i urządzenia techniczne to zajęcia najciekawsze dla słuchaczy. Chłonność na wiedzę praktyczną i praktyczne zastosowanie różnych instrumentów oddziaływania kulturalnego (radio, telewizja, kamera i projektor filmowy itd.) jest wielka. Oczywiście najwięcej tymi sprawami pasjonują się pracownicy PDK.

Zakończenie kursu jest niespodziewanie bardzo rzewne. U wszystkich widoczny jest żal, że się rozstają. Tak bywa zawsze. Pytają o następne takie spotkanie, kiedy i gdzie. My zaś zapytujemy samych siebie, czy kurs był pożyteczny dla tych ludzi, czy wzbogacił ich spojrzenie na własny zawód i jego funkcję społeczną? Czy warto takie spotkania organizować również w przyszłości?

Aleksy Bornus

List do redakcji

W n-rze z września-października br. „Życie i Myśl” wydrukowało wiersz Zbigniewa Zaborskiego „Wojna i pokój”, pod tytułem „Nad Tacytem”. Otóż, o ile sobie przypominam, jeszcze w miesiącu lutym miałem zaszczyt złożyć w Redakcji „Kamień” ów wiersz i jego tytuł brzmiał „Nad Tacytem”. Wiersz został uznany za zbyt długi i nie nadający się, ze względu na dużą ilość werstw, do wydrukowania go w „Kamieniu”. Następnie podczas mojego wieczoru autorskiego (też chyba w marcu) czytałem ten wiersz w Klubie „Nora”. Wiersz, o którym mowa, stanowił część poematu „Wymierzanie świata” i ma wejść do przygotowanego przeze mnie tomiku „Miejsce istnienia”. Pan Zaborski popłynął najbezpieczniej plagiat, nie zadając sobie trudu zmienienia choćby wyrazu. Zainkasował pieniądze i pewno chodził po Lublinie w aureoli takiego, co to w poważnych pismach drukuje. Ponieważ młodemu poecie lubelskiemu często zdarza się plagiat (kiedys spłagiatoł wiersz Janusza Tęczynka), pragnę napisać, że stanowi to ciekawy przyczynek do „twórczych” poczynąń grupy „Prom”, której członkiem jest Zaborski.

Sądząc, że „Kamień”, jako najstarsze pismo literackie w Polsce i pismo przestrzegające dobrych obyczajów, zamieści ów list.

Warszawa, 29.X.60

Andrzej Tchórzewski

NOTY

43 RÓCZNICA REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ W PISMACH LITERACKICH. „Nowa Kultura” w n-rze 43 przynosi najciekawszy materiał dotyczący kultury radzieckiej. Dwie prace: żywo napisana przez Alicję Lisiecką relacja ze spotkań z najmłodszą generacją literatów radzieckich i specjalnie napisany dla „Nowej Kultury” artykuł w. Ogniewa „A więc poznajmy się”, charakteryzujący młodą poezję radziecką. Ilustrują wiersze wymienionych tam poetów — E. Jędrzejewski, E. Winokurova, A. Wozniakowski i B. Okudźawa. Z poetów starszego i średniego pokolenia obok Majakowskiego (fragment „Płatej międzynarodowej”) znajdujemy przekłady z Selwińskiego, Twardowskiego, Zabolockiego, B. Stuckiego, Martynowa, Kirsanova, Kwiliwdze i Czikowanowa. Prozę reprezentują Szkolowski (wspomnienia), Niekrasow i Kazakow. Bardzo sympatycznie przedstawiają się akcenty „polskie” występujące w ten czy inny sposób w utworach pisarzy radzieckich: tytuł artykułu wstępnego B. Burkowa „Razem, młodzi przyjaciele” kojarzący się z Mickiewiczem, rozważania Paustowskiego o Zygmuncie Walliszewskim (okazuje się, że plastyk polski był szwagrem autora „Kolchidy”), piękny wiersz Kirsanova „Florian”, nawijający do bytności Mickiewicza w Wenecji (choć zawiera pewne nieścisłości: Mickiewicz nie znał Warszawy, a mowa o Starym Mieście, tak samo i „ymbalista” nie ma miejsca, bo Mickiewicz będąc w Wenecji nie był jeszcze twórcą „Pana Tadeusza”), czy Szopen w wierszu Selwińskiego „Szumy”. Numer zawiera i inne materiały radzieckie oraz recenzje ostatnio wydanych u nas przekładów. W sumie całość świadczy chlubnie o wysiłku redakcji, która jednak przeoczyła niekonsekwentnie w transkrypcji imion rosyjskich: Majakowski jest Włodzimierzem, a Ogniew — Władimirem! Na drugim imięciu pod względem bogactwa materiałów radzieckich umieszcilibym „Współczesność” (nr 21/76). Przykrym zbiegiem okoliczności znalazła się w niej ta sama „Kira Georgiewna” Niekrasowa, którą zamieszczono w „Nowej Kulturze”, oczywiście w innym przekładzie. Interesująca opowiada o swoich wrażeń z

niedawnej bytności w Związku Radzieckim S. Grochowiak („Dwie sławy”). Zabawa była ta scysła między poetami i mimowolny „komplement” w złościwości Dolmatowskiego, który miał oświadczyć Grochowiakowi, że „ma go w nosie, bo chyba największe audytorium, jakie ten widział, wynosiło ze dwa tysiące osób”. (Ale rozważania Grochowiaka na temat dwóch aspektów stawy — aktualnej i nie przemijającej — wydają mi się bardzo teoretyczne. „Marzyć o stawie nie przemijającej, wychylonej w bliżej nieokreślonej przyszłości”? Owszem, marzyć można. Ale nie ma obawy, ani Dolmatowskiemu, ani Grochowiakowi, ani nikomu ze współczesnych poetów radzieckich i polskich „nie przemijająca” sława nie grozi. Na przestrzeni tysiącleci leż nazwisk spóźwonych w literaturze światowej się ostało? Nie doliczymy się setki). W omawianym numerze „Współczesności” znalazły się jeszcze przekłady wierszy G. Glazowa, B. Rachmanina, W. Szosina, R. Różdźwiewskiego, W. Tusznowej, G. Szymanowa, W. Koczetkowa i A. Wozniakowskiego, nowela Babela, esej Szkolowskiego i in.

„Życie Literackie” (nr 43) nie wysiliło się: ani jednego wiersza z poezji radzieckiej (nie ma nawet zapowiedzianej na str. 1 — rosyjskiej liryki ludowej), jedno krótkie opowiadanie Krutikowa, a najlepsza pozycja tego numeru „O Brunonie Jasińskim” Sterna nie wiąże się specjalnie z rocznicą październikową. Tak samo ubogo pod tym względem przedstawia się nr 45 „Przeglądu Kulturalnego”: poza Krutikowem nic z oryginalnej twórczości radzieckiej. Może w następnym numerze?

JERZY PLESNIAROWICZ REDIVIVUS. Ten ciekawie zapowiadający się w swoim czasie poeta, który od wielu lat milczał zdradziwszy poezję dla teatru, zamieścił w n-rze 45 „Orki” dobre przekłady z Szcypaczowa, Tripinkina i Rylenkowa.

JASNOWIDZ. W n-rze 35 „Kultury i Życia” (dodat. „Sztandar Ludu”) z dn. 30 października br. w dziale „Kronika” zamieszczono notatkę o konkursie na powieść ogłoszonym przez Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą. Anonimowy jasnowidz podaje informację, że „około połowa (czy to dobrze po polsku?) nadesłanych prac należy do literatów lubelskich”. Nie wiemy, czy piszący te słowa przeswiał zaklejone koperty z nazwiskami rentgenem, a jeśli tak, to jego aparat miał defekt.

-kaj-

Z życia szkół lubelskich

(Dokończenie ze str. 11)

dem zagęszczenia sal lekcyjnych zajmujemy niestety także pierwsze miejsce w Polsce. W jak ciężkich warunkach odbywa się nauka w naszym mieście może świadczyć fakt, że w samym Lublinie aż w 11 szkołach podstawowych pracuje się na 3 zmiany, a w niektórych klasach nawet na 4. Wskutek zbliżającego się wyżu demograficznego sytuacja ta będzie stale się pogarszać. Uratować ją może tylko podwojenie tempa budowy nowych obiektów szkolnych, a to rzecz jasna, zależy w dużej mierze od postawy społeczeństwa.

Uroczyste obchodzone były w tym roku w szkołach Dni Lublina. Młodzież wzięła czynny udział w szeregu organizowanych w tym czasie imprez artystycznych (m. in. w Lublinie zorganizowano je przy ulicy Lubartowskiej, na Bronowcach, Dzieślańskiej i 1 Maja), a także zwiedzaniu muzeów, wystaw i w pracach społecznych. Odbyło się także sporo wycieczek mających na celu zapoznanie młodzieży z zabytkami i dziejami naszego miasta. Podobnemu celowi służyły przeprowadzone specjalne lekcje historii i języka polskiego. Dzięki tej różnorodności i masowemu charakterowi imprez Dni Lublina odegrały w życiu naszych szkół bardzo pozytywną rolę.

Uczniowie Szkoły Podstawowej Nr 6 w Lublinie rozpoczęli prace przy założeniu parku szkolnego, w którym posadzono już m. in. ponad 50 dębów.

W Kozłowie odbyło się spotkanie miejscowej młodzieży i uczniów szkoły w Siedlisku oraz wychowanków Domów Dziecka z delegacją lubelskiej jednostki wojskowej. Na imprezę złożyły się wspomnienia żołnierzy i filmy oraz wiersze i piosenki w wykonaniu dzieci. Na zakończenie odbyła się zabawa taneczna.

W październiku Lubelszczyzna gościła delegację nauczycieli z Brześcia. W skład jej wchodził: inspektor oświaty w Brześciu Anatolij Aleksiejewicz Strielczonok oraz Iwan Romanowicz Ziwotczina, Lidia Jakowlewna Szlachetina i Maria Władymirowna Nazarenko. Goście zwiedzili szereg szkół w Lublinie, Białej Podlaskiej, Zamościu i Klementowicach, spotkali się także z pracownikami Kuratorium OSL, zwiedzili Majdanek i byli na przedstawieniu sztuki Leo- na Kruczkowskiego „Pierwszy dzień wolności” w Teatrze im. Juliusza Osterwy.

W związku z obchodami Tysiąclecia Państwa Polskiego Muzeum na Zamku w Lublinie zorganizowało dla młodzieży szkolnej pokaz filmów poświęconych zabytkom i wykopaliskom na terenie naszego kraju. M. in. wyświetlono filmy: „Biskupin”, „Strzelno” i „Drzwi Gnieźnieńskie”.

Lubelskie Szkoły Podstawowe Nr 31 i 35 urządziły dla nauczycieli wycieczkę w Tatry Słowackie. Poza celami turystycznymi i krajoznawczymi impreza ta miała na celu spotkanie z nauczycielami w Smokowcu i wymianę doświadczeń.

Szkoła Podstawowa dla Pracujących w Lublinie przy ulicy Dymitrowa zorganizowała specjalny kurs dla dorosłych, którzy

przekroczyli 35 lat życia i pracują zawodowo, a nie ukończyli szkoły podstawowej. Po kursie absolwenci złożą tzw. egzamin uproszczony i w ten sposób zdobędą brakujące świadectwo ukończenia szkoły podstawowej.

W 1961 roku rozpoczęła się budowa pożądanego, siedmiopiętrowego Domu Nauczyciela w Lublinie, w którym znalazłoby pomieszczenie: hotel nauczycielski, kawiarnia, stołówka, sala konferencyjna i pracownia. Jeśli chodzi o dotację, połowę stanowią będą wpływy ze Społecznego Funduszu Budowy Stolicy, a także subwencje z ZG ZNP i składki nauczycieli. Budowa tego gmachu potrwa około 3 lat.

W Strzeszkowicach (powiat bełżycki) położono kamień węgielny pod szkołę Tysiąclecia, której budowa zakończona zostanie w 1961 roku. Zastawie (powiat lukowski) otrzymało natomiast szkołę już obecnie dzięki kredytom z Kuratorium OSL. Notabene — jest to już piąta szkoła oddana do użytku w tym roku w powiecie lukowskim.

Elżbieta Rosiak

List ode mnie

Wielce Szanowna Redakcjo!

Donoszę, że zostałem porządnym człowiekiem. Razem z Jurkiem Ludwińskim prowadzę KLUB NA ZAMKU. To nie, że jego nazywają prezesem, a mnie dyrektorem. Ale jak my pracujemy!

A oto nasze menu tygodniowe. Poniedziałek — koncerty muzyki poważnej z płyt (ale ja się na tym nie znam). Wtorek — Można pić kawę. Środa — Śpiewa Piotruś Szczepanik i my ciągle słuchamy. Czwartek — Filmy dyskusyjne, a Mańkowski się nie zjawia, oj! oj! Piątek — Wieczór dyskusyjny. Sobota — Włodzio Borowski po grecku. Niedziela — Wieczory autorskie. A Kierskiego zazdrość ściska. We wszystkie inne dni ja à la Afanasjew.

Chciałem Redakcję „Kamień” na deser, ale ciągle odmawia i co ja zrobić. I nawet pisać nie mogę tak, jak mi serce dyktuje bo ja umiem tylko na archaicznych Remingtonach, a to elegancka maszyna portable i to jeszcze ze Związku Literatów.

Więc niech już Redakcja przyjdzie i rozślawi nasze imię.

z poważaniem
Miroslaw Derecki
ustatkowany

p. s. Ja też przyjdę

Dwie mile od Lublina

(Dokończenie ze str. 10)

Taką jest historia Babiną bez deseru...

Nie tylko Babin żyje myślą o stworzeniu Domu Pracy Twórczej. W powiatowych Bełżycach sprawa ta była poważnie omawiana na niedawnym nadzwyczajnym zebraniu Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. GRN w Babinie i PPRN w Bełżycach wzięłyby na siebie sprawę adaptacji budynku.

Istnieje jednak pewne „ale”. Park i dwór stanowią własność Stacji Hodowli Roślin. Mieszczą się tutaj: administracja, laboratorium oraz mieszka osiem rodzin pracowników Stacji. Stacja Hodowli Roślin posiada kredyty na wzniesienie budynku mieszkalnego. Chętnie przekazuje dwór i park Gromadzkiej Radzie Narodowej w Babinie, jeśli zostaną jej przyznane dalsze kredyty na budowę budynku administracyjnego.

Myszę, że z uwagi na ważność sprawy, odpowiednie władze, a szczególnie Wydział Rolnictwa PWRN w Lublinie, powinny się tym gorąco zainteresować.

Babin czekał cierpliwie kilkanaście lat. Teraz sam powiadamia Lublin o swoim istnieniu.

Miroslaw Derecki

Odpowiedzi Redakcji

P. P. „Czym chata bogata”. Niestety, z grzebnicami nie skończysz.

Jerzy Spr. w Lublinie. Wierze przekazałmsy redaktorowi kolumny „W stronę młodych”.

Aleks. Rat. w Warszawie. Przez dłuższy czas nie będziemy przyjmowali żadnych nowych wierszy. Poza tym w piśmie naszym drukujemy w zasadzie utwory autorów lubelskich.

Zyg. Fl. w Toruniu. Niestety, z braku miejsca musimy odmówić.

Autorowi wiersza „Popłatal myśli w znak zodiaku”. Nie nadaje się do druku.

Konkurs ZMW

Zarząd Główny Związku Młodzieży Wiejskiej w porozumieniu ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich postanowił ufundować nagrody dla dziennikarzy za całokształt publicystyki omawiającej problematykę życia i pracy młodzieży wiejskiej. Nagrody mają na celu wzmocnienie zainteresowania dziennikarzy tą problematyką młodzieżową oraz zachęcenie ich do podejmowania w czasopiśmie tematyki z tego zakresu.

Nagrody za rok 1960 przyznane zostaną w styczniu 1961 roku w następującej wysokości:

I nagroda	—	4.000 zł
II nagroda	—	3.000 zł
dwie III nagrody	—	po 2.000 zł
trzy wyróżnienia	—	po 1.000 zł

Oceny materiałów i przyznania nagród dokona specjalna komisja powołana wspólnie przez ZG ZMW i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Ocenie poddane będą artykuły publicystyczne, reportaże, a nawet informacje o wspomnianej tematyce, opublikowane w dziennikach, tygodnikach i innych pismach w roku 1960.

Do redakcji pism, instancji ZMW oraz poszczególnych dziennikarzy zwracamy się o zainteresowanie się konkursem, dokonanie wyboru najlepszych i ciekawszych pozycji i przesłanie zgłoszeń wraz z załączonymi numerami pism, w których pozycje te były publikowane. Zgłoszenia prosimy przesyłać do ZG ZMW Warszawa, ul. Smolna 40 do 15 grudnia br.

Konkurs na melodię

Wydział Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Białymstoku podaje do wiadomości, że ogłoszony poprzednio konkurs na melodie do piosenek trwa od 15.X. do 1.XII. br., a konkursowe teksty piosenek otrzymała można osobiście lub korespondencyjnie w Wydziale Kultury Białystok, ul. Lenina 9.

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Listopadowy zeszyt „Kamień” (nr 3 (32) 1935) zawierał wspomnienie Lwa Gomoliczkiego o tragicznie zmarłym poecie Bronisławie Ludwiku Michalskim, wiersze B. L. Michalskiego, F. Arnsztajnowej, P. Herza, S. Napierskiego, L. Świeżawskiego, L. Pasternaka, J. Iwańskiego, I. Gąstora i Z. Popowskiego, artykuł Stan. Czernika „Laurów i konkursowo”, „W stulecie urodzin wielkiego poety” (Carducciego) J. Wieleżyńskiej, przekład „Hymnu do szatana” Carducciego (tłum. J. Wieleżyńska), „Spiacego” W. Whitmana (tłum. J. Czechowicz), wierszy Hansa Carossa (tłum. Z. Waśniewski), Otokara Brzeziny (tłum. A. Madej), F. Halasa (tłum. J. Surmacz), I. Smreka (tłum. K. A. Jaworski), Rilkego i G. Heyma (tłum. Z. Waśniewski), fragment powieści Marii Szczepańskiej, przekład poezji K. A. Jaworskiego i noty. Wkładka imortywa Zenona Waśniewskiego „Motyw z Chelma”.

Rysunek na str. 9 Jerzego Durakiewicza



Dwutygodnik literacki „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rekwizytów nie odsyła • Warunki prenumerat: kwart. z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywana się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie z 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 4237. 2.XI.60. Nakł. 1000 — 484/S-3